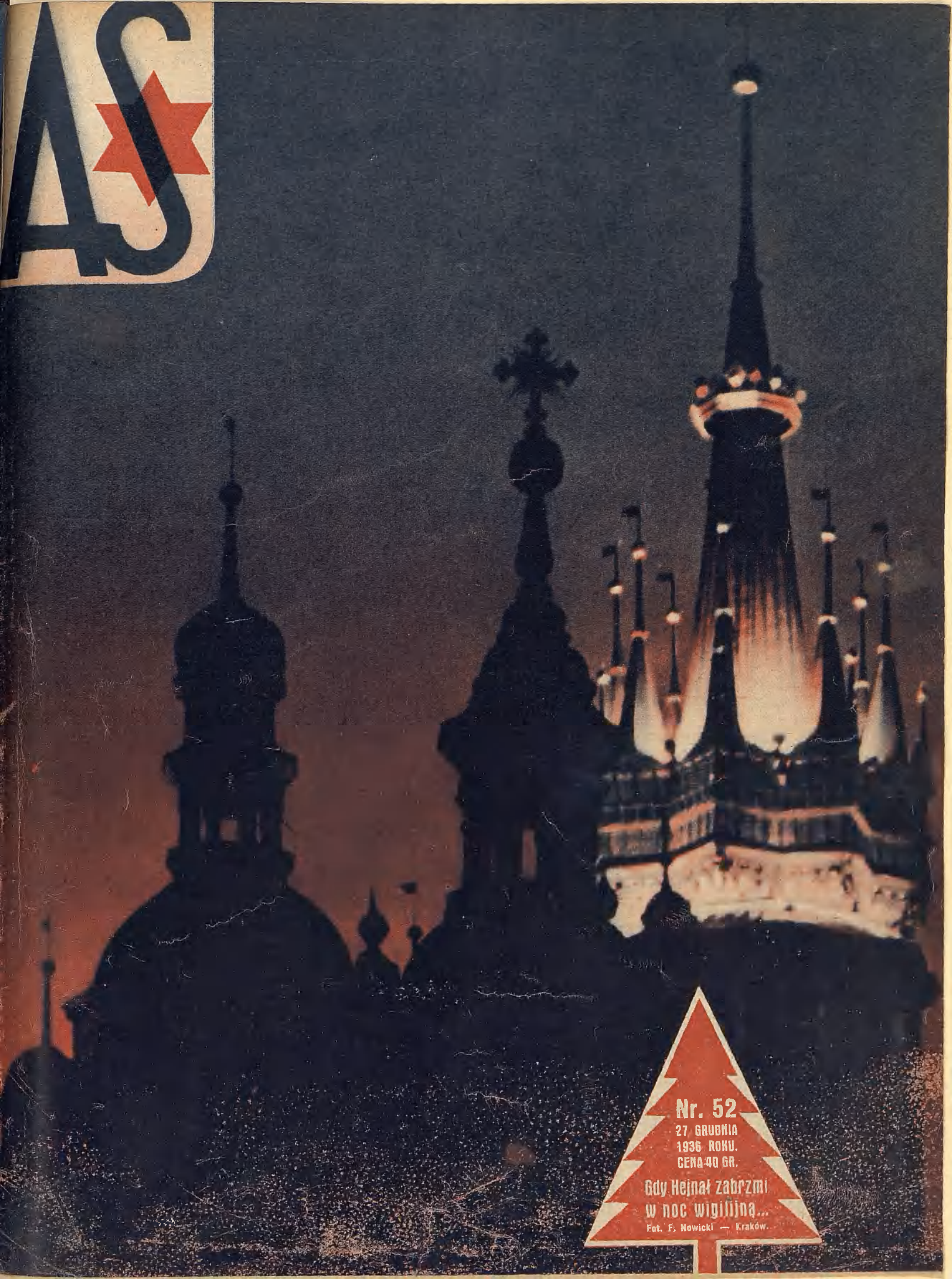


AS



Nr. 52

27 GRUDNIA
1936 ROKU.
CENA 40 GR.

Gdy Hejnał zabrzmi
w noc wigilijną...

Fot. F. Nowicki — Kraków.

JEMIOŁA – SYMBOL SZCZĘŚCIA

Dziwny widok przedstawiają południowe porty angielskie zimą, w ostatnich, przedświątecznych tygodniach. Oto i szlakiem wodnym ciągnie do nich cały korowód statków i małych żaglowców, wyładowanych po pokład zielenią. To transporty przesyłane z lasów Bretanii; jemiola, bez której Anglik nie rozumie świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku. W angielskim domu może braknąć przy wigilijnej uczcie tradycyjnej jodełki, ale nie gałązki jemioli, zawieszanej pod sufitem, albo nad progiem. Jemiola uważana jest za posłańca szczęścia. Nawet w najwięcej purytańskim domu wolno wtedy młodą kobietę pocałować mężczyznę, gdy ta znajdzie się pod jemiolą! Przesyłając podarek noworoczny Anglik nie zapomina dołączyć gałązki jemioli!

Także Francuzi i Niemcy w swe tradycyjne zwyczaje włączyli jemiolę. Z zachodu zwyczaj ten powoli przesiąka i do nas, to też z końcem grudnia, za szybami kwieciarz wszystkich miast jawi się wśród barwnych, cieplarnianych kwiatów niepozorny, złoty-zielony krzaczek jemioli, strojny w białe jagody.

Daleko wstecz trzeba sięgnąć, by do trzeciego źródła kultu jemioli, do legend północnych, do sag celtyckich i irlandzkich. Najstarsza z legend północnych przedstawia porę owocowania jemioli w symbolicznej, a pięknej historii bogów. Oto bogini Frigga ongiś odebrała od wszystkich twórców przyrody przysięgę, że nie zranią jej syna, słonecznego Baldura. Przeoczyła jednak jemiolę, która w formie strzały, w ręku ślepego Hodura — kierowana przez złego Logi — stała się przyczyną śmierci syna. Jednakże miłość matki zwyciężyła złość, gdyż za dotknięciem zwłok gałęzią je-



mioli — rodzi się znowu nowy, pełen blasku Baldur, szczęśliwie rządzący światem. Mit ten jest bardzo przejrysty. W legendzie o Baldurze łatwo rozeznaczyć obraz ziemskiego roku, w którym słoneczny Baldur przedstawia symbol wiosny, a Hodur alegorię mroźnej zimy, zabijającej naturę. Jemiola stoi na pograniczu tych dwóch epok, bo owocuje z końcem roku. Stąd jasnym jest, dlaczego stała się symbolem świąt zimowych, więc świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku, świąt odrodzenia się słońca.

Nadziemską moc przypisywali także Rzymianie jemioli, wszak Wergilusz w swej eposie bohaterskiej mówi, że Eneasza otwiera wrota podziemi złotą rutą — jemioli. Również Gallowie otaczali ją kultem, zaś Druidowie odcinali w pierwszych dniach nowego

roku złotym nożem gałęzie jemioli, którą po modłach rozdawali ludziom, na pomyślność całego roku.

Nie ulega wątpliwości, że ta dziwna roślina musiała zainteresować pierwotnego mieszkańca puszczy. Nie mogło zatem ująć jego uwagi, iż w puszczy — gdzieś wysoko, w gałęziach, bez wody i ziemi rozwija krzaczek, pełen złoto-zielonych liści. Spostrzegł on, iż ta roślina inaczej żyje, jak reszta, że jest pasorzytem i wywnioskował, że nasienie jemioli musiało spaść z nieba — zatem jemiola jest bóstwem!

Ze zmierzchem pogaństwa zagał kult jemioli; pozostała jej jednak właściwość przypisywana ongiś — przynoszenia pomyślności. Jemiola różni się od wszystkich roślin ziemi. Ona jedna rozkwita późną jesienią, kiedy ostatnie owady mogą zapylić jej kwiaty, a owocuje z końcem grudnia. Białe, o lepkiem mięsie owoce jemioli służą w zimie za pokarm jemioluszkom, drozdom i innym ptakom. One to przenoszą niestrawione nasionka na wysoko położone gałęzie, gdzie rozwija się i powoli rośnie młoda roślina.

Krzaczek jemioli żyje około 40 lat, poczem ginie. — Zarzuca się jemioli, iż niszczy drzewo, które jako podziurawione staje się niezdatne na deski. Ale przecież jemiola sadowi się przeważnie na gałęziach! Jedynie, gdy zbyt się rozmnoży na owocowych drzewach hamuje rozwój kwiatu. Wynagradza jednak te straty własnościami leczniczymi, bo jemiola w ostatnich czasach z medycyny ludowej przeszła do oficjalnej, jako dość ważny składnik lekarstw.

Jakże pięknie wyglądają jej zielone bukiety w lasach, kiedy tylko ona jedna szepta o utajonym życiu przyrody! Z. K.



As w kartach to potęga, przed którą drżą młódki —
CZEKOLADA PIASECKIEGO

to pokusa, której się nikt nie oprze.

NA GWIAZDKĘ

tylko praktyczne podarki

PANTOFLE ciepłe damskie . . .	zł. 3'-
KALOSZE męskie	3'-
DESZCZOWCE	4'-
ŚNIEGOWCE	5'-

GWIAZDKOWE PODARKI

reklamowy komplet damskich pończoch w specj. opak.

1 para jedwab. pończoch mat. I-a gat.

1 " " " z połysk. " " "	razem 4'90
1 " podpończoszek macco " " "	zł. 4

GWIAZDKOWE PODARKI

Reklamowy komplet męskich skarpetek w specj. opak.

2 pary skarpetek flor. desen. I-a gat.

1 para " " czarnych " " "	razem 4'50
1 " " ciepłych marengo " " "	zł. 4

Delika

Do nabycia we wszystkich filjach.



Numer 52

Niedziela 27 grudnia 1936

Rok II

GWIAZDKI NUMERU ŚWIĄTECZNEGO:

WIELKA TAJEMNICA.

Jak w naszym dzieciństwie oczekiwaliśmy otwarcia drzwi, za którymi kryła się tajemnica Wieczoru Wigilijnego.
Str. 1.



KAGAMI — OGI — KOTO.

Zwierciadło duszy wschodniej.
Str. 6



METAMORFOZY „CZARNYCH CIARAKTERÓW” EKRANU.

Na drodze kariery filmowej William Powell'a, Wallace'a Beery, Adolfa Menjou i wielu innych gwiazdorów.
Str. 10



HAFTY LUDOWE

ZIEMI KRAKOWSKIEJ I PODHAAŁA. Bogatą dziedzinę naszej sztuki ludowej stanowią hafty, które zależnie od okolicy posiadają odrębne cechy.
Str. 12.



BOŻE NARODZENIE NA SCENIE.

Motywy świąteczne w inscenizacjach teatru polskiego.
Str. 14.



ZDOBYWCY OCEANÓW.

Jak w ciągu tysięcy lat ludzkość dążyła do ujarznienia przestrzeni wodnych na obu półkulach globu ziemskiego.
Str. 17.



ŻYCZENIA GWIAZD POLSKIEJ SCENY.

Artystki i artyści naszych teatrów składają Czytelnikom „Asa” życzenia świąteczne.
Str. 20.



POLSKIE OZDOBY NA CHOINKĘ.

Ciekawe eksponaty wystawy w domu Matejki w Krakowie, otwartej staraniem Krakowskiego Towarzystwa Popierania Burs dla dziewcząt.
Str. 24.



KTO NAS UBIERA?

Fauna i flora na warsztacie pomysłowości człowieka.
Str. 28.



Z teki muzycznej „Asa”:

„KOLYSANKA JEZUSKOWI DO SNU...”

Kolenda Bolesława Walickiego. — Słowa Marji Paruszczyńskiej.
Str. 30.



HEJ KOLENDA... KOLENDA!

O powstaniu szopki krakowskiej i jej regionalnych odmianach.
Str. 33.



PANI MODA W WYMIARZE 1/3.

Ewolucja stroju dziecięcego na przestrzeni ostatnich 100 lat.
Str. 39.



Trzy nowe. — Kosmetyka. — Humoreski. — Kącik filatelistyczny. Dział gospodarstwa domowego. Humor i rozrywki umysłowe. — Na scenie. — Program radiowy.



Wszystkim
Przyjaciółom „Asa”
życzy
Wesołych Świąt
Redakcja.

T WIELKA AJEMNICA



Wystawy magazynów z zabawkami przyciągają w okresie przedświątecznym tłumy ciekawych... (Oxford-Street w Londynie).



W noc wigilijną śpi się najlepiej z podarunkami, które przyniósł grzecznemu dziecku aniołek na gwiazdkę...

Nie wiem, czy i Wam przyszło kiedy na myśl, że za naszych lat dziecińczych zimy były bardziej mroźne i śnieżne, a lata cieplejsze i bardziej słoneczne? Klimat nie uległ prawdopodobnie zmianom — tylko my...

Dziś jednak wydaje mi się, że w ów czas le-

gendarny, w grudniu było zawsze śnieżno i mroźno. Mieszkaliśmy na Podhalu, w małej wiosce, malowniczo rozrzuconej w dolinie górskiej rzeki. Krajobraz ten widzę we wspomnieniach, jakby pełen romantycznej ekspresji zimowy pejzaż, malowany ręką marzyciela-artysty. Zapewne na całym Podhalu dziś niema już takiego pejzażu. Należał on do tamtego, dalekiego świata i do rzeczy, które dawno odeszły.

Wszystko to wiąże się z historią „wielkiej tajemnicy”, z pełnym czaru epizodem „drzwi zamkniętych”.

Nieraz drobny szczegół przywodzi na pamięć bajkę dzieciństwa. Czasem, gdy w zimie bawię na wsi i chłopak rano rozpala ogień w piecu, a suche szczapy sosnowe zaczęły strzelać i czerwony blask obleje pochyloną twarz służącego, wówczas wydaje mi się, że dawno zamknięte drzwi od mojego dzieciennego pokoju nagle się uchyliły. Wtenczas przecież ogień palił się zawsze czerwono — drzewo strzelało w piecu każdego ranka — za oknami bieleły się pola, a w parku stały smukłe świerki w pysznej okiści.

Podobnie, gdy wypadnie mi wyiskrzoną nocą przejeżdżać sankami przez uśpioną

Poniżej: Nie jeden z nas, będąc jeszcze dzieckiem, pragnął zastać pod choinką minijarówą kolej żelazną — marzenie wszystkich inteligentnych chłopców...

Fot. Scherl — Berlin.

wieś, w monotonnej melodii dzwonek odzywa się chwilami echo tamtych czasów.

Okres „wielkiej tajemnicy” inaugurowały nie nie znaczące i blahe napozór czynności. Oto jednego dnia z pokoju — który przylegał bezpośrednio do gabinetu ojca wyniesiono etażerkę z kwiatami. Niby nic, lecz zarówno ja, jak mój młodszy brat, dosko-

Dokończenie na str. 7-mej





„Wielka Tajemnica“
wieczoru
wigilijnego...

♦♦
MARTA EGGERTH-
KIEPUROWA.

MIECZYSLAW
T U R S K I



KAGAMI

OGI-KOTO

zwierciadło duszy wschodniej pani

— Dzięki Ci Władco bogów i ludzi — zawołała, chyląc czoło ku ziemi. — Jestem piękna!

Wówczas w płomieniu gorejącego krzewu pojawiła się bogini Kuannon.

— Próżność kobiecą i dumę zarozumiałości odpokluniesz srodze, stając się kukłą w ręku swego małżonka! — zawyrokowała wystawka niebios.

Lecz Duch Czerwonej Wieży, opiekun kultury i cywilizacji zdołał uprosić bóstwo o łagodniejszą karę, wyrażając się w czołobitnym hołdowaniu płci pięknej symbolom doczesnej wytworności.

Od tej chwili wszystkie rasowe mieszkanki Wschodu, wiodące swój ród z pierwiastka żeńskiego Gen, powstałego z elementów ciemności, chłodu i śmierci, a więc wszystkich ujemnych właściwości bytu, podlegała absolutnej władzy zwierciadła.

SłoŃnooka japońska „okusan“, podniósłszy się z szerokich mat, zw. „tatami“, na dzień dobry przeglądała się w ozdobnym podreźnym zwierciadle, o długiej rękojeści z kości słoniowej, zanim zwyczajem wszystkich cór krainy Wschodzącego Słońca, uda się do kąpieli w wrzącej wody. Skoro po porannych ablucjach powierzy swe ciało niewidomemu masażystce, najbardziej odpowiedzialnemu do tegoż zawodu, bowiem posiadającemu nadzwyczajnie rozwinięty zmysł dotyku, cały czas podczas zabiegów kosmetycznych spogląda w lustro.

Nie zawsze jest ono sporządzone z tafli szklanej. Często w użyciu są zwierciadła, wykonane z wypolerowanej powierzchni szlachetnych metali.

Takie właśnie zwierciadło miała ongiś posiadać bogdanka jednego z Szogunów, a Demoni z wyspy Onigaszima, nadali metalowi tajemniczą moc zachodzenia mgłą, ilekroć pragnął ujrzeć odbicie swego oblicza człowiek fałszywy. Wśród flakonów i kloszy „kikuno hana“, kwiatów chryzantem, stoją lustra różnych typów i rozmiarów, zdobiąc zarówno mieszkanie kobiety dawnych zasad, staroświeckiej „kifudzin“, jak też na europejskich wzorach wychowanej emancypującej się „mona“.

Podobnie mieszkanka górzystych okolic Tybetu, ojczyzny Dalaj Lamy, prowadząca koczownicze życie, chowa skrycie w zanadru kawał grubo szlifowanego szkła, oddającego jej identyczną przysługę, co misternie rzeźbione, srebrem inkrustowane „kagami“ panny Bambus, czy panny Źródło, egzotycznej Fonsan.

W ich ślady podąża również Chinka, która przebywając najczęściej na odludnej wsi, często miast w lustrze, przegląda się w zbiorniku źródlanej wody, spędzając przy nim niejednokrotnie długie godziny. Dlaczego to czyni, nie potrafi odpowiedzieć. Prostu natura gna ją podświadomie do ustawicznego podziwiania karnacji swych lic, aczkolwiek nie można genezy tegoż zachowania się szukać jedynie w próżności i kokieterii.

Zwierciadło stanowi najwiarogodniejszego doradcę o każdej porze dnia. A uroczą córa Dalekiego Wschodu zmienia swe wzorzyste kimono nie tylko zależnie od pory roku czy rodzaju pogody, lecz również stosownie do uroczystości religijnych i rodzinnych, przypadających na dany dzień, a nawet ściśle określonej godziny. Byłoby wysoce niewłaściwie nosić n. p. w dniu święta lampjonoń, szaty w deseń z bocianów i naodwrot. Podobnie pod zimę wdziewa każda „musme“ grube z mięsistego materiału „fuyn-fuku“. Lustro również potwierdza piękno długiego, bogato haftowanego pasa materji „kawaoli“, służącego do przewiązywania „kimona“ nieco powyżej stanu.

„Miecz samurajów stanowi duszę mężczyzny, a zwierciadło duszę kobiety“ mówi japońskie przysłowie.

I z tej właśnie „duszy“ czerpią Japonki tradycje narodowe i niezłomne zasady wychowania, widząc w zwierciadle nie tylko

swe własne odbicie, lecz również szeregi swych antenatów, pełnych bohaterskiego poświęcenia dla dobra ojczyzny. Wachlarz natomiast, to nie tylko mały przybór galanterijny, mający na celu chłodzenie twarzy w skwarne dni lata, lecz przede wszystkim symbol wytworności gestu i gracji towarzyskiego obycia. Używany przez osoby obojga płci, zarówno na północnych wyspach archipelagu: na Hokkaido, Kunasini czy Riszle-dzima, gdzie zima panuje przez siedem miesięcy, jak i na Szikoku czy Kiusiu, które dzięki korzystnemu klimatowi podzwrotnikowemu i obfitym opadom, posiadają bujną szatę roślinną, chroniącą od upałów i spiekoty.

Już w „Buszido“ czyli w „drogach rycerzy“ systemie pojęć etycznych i dobrego wychowania, obowiązujących antyczną szlachtę japońską, między wierszami można się dorożumieć szeregu okoliczności, mających na celu praktyczne zastosowanie wachlarza.

Zręcznie użyty, osłania oblicze przed oczyma bliźnich, którzy w danej chwili mogliby odczytać z twarzy myśli czy uczucia. Rozłożony, stanowi dyskretny parasol dla prowadzenia poufnej rozmowy. Zwinięty odgrywa dominującą rolę podczas towarzyskiego „cercle“, hamując ręce od zbyt uczuciowej gestykulacji. „Ogi“ może posiadać specjalnie okragły fason i wówczas zwie się „ucziwa“, może również być składanym, czyli „sensu“. Ten ostatni rodzaj wachlarza ka oddaje nieocenione usługi oficerom armji i floty, którzy nosząc go ukryty w rękawie munduru, każdej chwili mogą zużytkować go do wachlowania się.

Sztucznie spreparowany papier, masa perłowa, drzewo, kość słoniowa — oto materiały z których mistrzowie zgrupowani we wspólnym cechu, sporządzają subtelnie rzeźbione, pełne wysokiej artystycznej wartości wachlarze.

Zdarza się, iż taka Otake San, wychowanka francuskiej Sorbony po powrocie do rodzicielskiego domu w Kioto lub Tyama, zachowa już na zawsze europejski ubiór, lecz wachlarz i tak znajdzie się w jej ręku.

A „Koto“ ta pierwotna lutnia? Niestety zanika. Zdobi jeszcze jako wartościowy, odziedziczony po przodkach antyk mieszkaniowy współczesnych, lecz dźwięczy jedynie w herbaciarniach, ukrytych wśród zaułków dużych, amerykańizujących się miast. — Gdzieś w chacie na peryferji żona uboższego „rikszy“, suchotniczego konia i woźnicy w jednej osobie, muska wychudzonymi palcami cieniutkie struny „koto“. Podobnie dziewczyna sprzedająca swe wdzięki za jeny czy wszystkie inne waluty świata, rano przgrywa swemu przyjacielowi, który jako t. zw. „chiki-teczaja“ (dosłownie: wabiący do herbaciarni), ma ją w swej opiece i przyciąga jej klientów.

Lecz „koto“ jako symbol muzyki i sztuk pięknych, autorytetem swej powagi wspiera każde artystyczne poczynania, znaczącą nową kartę w kulturze Dalekiego Wschodu. Wierność i przywiązanie do symboliki tych trzech elementów, nadają duszy kobiety orjentalnej piętno tajemniczości.

Edgar Smith, amerykański badacz Wschodu, zadał raz podczas przyjęcia u jednego z dygnitarzy w Tokio pytanie, w czym tkwi właściwa przyczyna, iż córy Wschodu pod niejednym względem przewyższają Europejki, nie mówiąc już o Amerykankach.

Dowcipna żona gospodarza, pełnna Japonka odparła:

— Profesorze! Proszę zapamiętać sobie dwuwiersz, wygłoszony przez samuraja z Kagoszime przed wiekami, do pierwszych białych ludzi, którzy stanęli na naszej ziemi:

„My mamy skórę żółtą, wy zaś macie białą, Wszakże złoto od srebra, droższe jest niemało“.

Od prawieków pokrywa białą, śnieżną całun stożek Fusijamy, od prawieków wartkim nurtem toczy swe wody Jangce-Kiang, od prawieków rozkwita cudowny kwiat lotosu, symbol boskiego Buddy.

Od długiego cyklu stuleci niezmienną pozostaje również psyche kobiety Dalekiego Wschodu. Córy żyźnego Sjamu zamieszkujące palowe domki Bang-Koku, zwanego „Wenecją Wschodu“, pracowite Malajki, dźwigające na swych obnażonych plecach stosy trzeiny cukrowej, namiętne Annamitki, słynne z posiadania skóry delikatnej jak aksamit, rozszalałe tancerki z pagod Allahabadu, Chinki czy Koreanki, wszystkie one stały się jak to określa ich siostrzyca z krainy kwitnącej wiśni, niewolnicami „Kagami“ — zwierciadła, „Ogi“ — wachlarza i „Koto“ — antycznego instrumentu muzycznego.

Pojęcie „Kagami“ oznacza nie tylko lustro, lecz w symbolistyce wschodniej jest wyobrażeniem czystości duchowej i cielesnej oraz nieposzlakowanego charakteru.

Legenda chińska przypisująca patynę wieków głosi, iż pierwsza z przedstawicieli płci nadobnej, stworzona przez Najwyższego na tym padole płaczu, przejrzała się w falach rzeki Huang-ho, załamujących obraz jej oblicza, wybuchła płaczem na widok szpetnego odbicia swej postaci.

Długo z jej oczu padały łyzy naksztalt kropli rosy, perląc się na liściach tulipanów. Aż zadał z mocą wielką Bóg Północnego Wiatru i mroźnym oddechem ściał przejryste łyzy w gładką lustrzaną tafle, w której niczem w kryształowym zwierciadle dojrzała wiernie rysy swej twarzy.

**Powiekszajmy
odporność naszej
skóry!**



Nawet zimą zachowamy gładką i delikatną cerę, jeśli codziennie, a zwłaszcza przed wyjściem z domu, wetrzemy w skórę odrobinę Nivei. Naskutek zawartości Eucerytu, wnika Nivea łatwo w głąb tkanek skórnych, przez co skóra staje się jędrną i nalezycie odporną. Krem Nivea jest do nabycia tylko w oryginalnych opakowaniach po cenie od zł. 0,40 - zł. 2,60.

W DOMU I W SPORCIE
**KREM
NIVEA**
PIELEŃNUJE SKÓRĘ

OKOCIM



PIWO.
WYSOKOGATUNKOWE

Dokończenie ze str. 4-tej.

nale znaleźliśmy sens tych wypadków. Na drugi dzień z tajemniczego pokoju przeniesiono jeszcze szafkę z książkami i zwinięto dywan, który zazwyczaj leżał na podłodze. Zwinięcie dywanu było niemyślnym znakiem, że w pokoju obok gabinetu zaczynają się dziać rzeczy zarówno tajemnicze, jak i dziwne.

W kilka dni później, mały pokójek zamknięto na klucz.

Ani ja, ani mój brat, nie pytaliśmy się nigdy dlaczego, jeden pokój wyłączony został z codziennego życia. To były rzeczy, o których wiele się myślało, lecz nie stanowiły one przedmiotu głośnej rozmowy. Instynktownie szanowaliśmy tajemnice, która istniała przecież tylko dla nas.

I oto w nasz cichy dom wstępowała nagle niepokojąca tajemniczość. Z wszystkich pokoi najważniejszym stał się ów szczelnie zamknięty.

Gdy wieczorem wracaliśmy ze ślizgawki, długo staliśmy z bratem na mrozie, wpatrzeni w okno zamkniętego pokoju. Zauważyłem, że właśnie wówczas, gdy nie było nas w domu, czyjaś ręka zapalała w nim światło. Gruba stora w równe pionowe pasy przysłaniała dokładnie wnętrze. Lecz mimo to staliśmy długo na śniegu, wpatrując się w światło, które płonęło „tam”.

Wieczory zimowe są długie. Już o czwartej popołudniu w dzieciennym pokoju zapalano lampę. Do dziś dnia tęsknię do jej łagodnego światła. Była to zwyczajna naltowa lampa z porcelanową umbrą, wewnątrz białą, a zewnątrz jasno-zieloną.

Gdy już leżeliśmy w łóżkach, wówczas dopiero mówiliśmy o „drzwiach zamkniętych”. Przykrecona lampa rzucała przyćmione światło. Na przeciwległej ścianie migotał złoty refleks na ramie świętego obrazu. Za oknami stała mroźna górska noc. Ciszę przerywał daleki brzęk dzwoneczków sanek, które przejeżdżały drogą za parkiem. Polana drzewa ułożone za piecem dopiero w no-

cy wydawały żywiczny zapach. Powoli zacierwały się kontury rzeczywistości. Czterowymiarowy świat dnia przechodził z wolna w bajkę, która mieszkała przecież w każdym dzieciennym pokoju.

I wkońcu przechodzi „ten” dzień. Wszystko mówiło o tym, co miało się stać wieczorem. Obiad podawano o dwunastej, w całym domu panowało gorączkowe podniecenie, wyprawiano nas na spacer. Lecz właśnie tego dnia nie nęciła nas ani ślizgawka, ani saneczki, ani zabawy z naszym wiernym towarzyszem psem Obalem. Krążyliśmy koło domu, pełno nas było wszędzie, przeszkadzaliśmy wszystkim, ustawicznie dopytując się... która godzina?

Gdy zapłonęła pierwsza gwiazda, przybrała odświętnie zasiadaliśmy wszyscy do wili. W pełnym wzruszeniu milczeniu łamał się się opłatkiem. Pamiętam, że wigilijna wieczerza bywała chyba jedyną w roku posiłkiem, w czasie którego ani mnie, ani brata nie było poprostu słychać. Z wypiekami na twarzy jedliśmy szybko i niewiele, nagle wzrokiem Marcysię, by prędzej podawała następne dania. Starsi nie stęli nie dzielali naszego zdenerwowania. Ojciec przy czarnej kawie spokojnie palił cygaro, obserwując nas z uśmiechem udając, że wcale się nie domyśla o co nam chodzi.

Dzwonek.. Powoli, z trzepocącymi jak u schwytych ptaków sercami, z błyszczącymi oczyma szliśmy przez ciemny gabinet ojca ku otwartym drzwiom „wielkiej tajemnicy”.

Tak oto iści się bajka dzieciennego pokoju. Nie było zdrady marzeń — realizacja

odpowiadała najzupełniej wysnionej baśni. To przecież nazywamy szczęściem...

W glorii płonących różnokolorowych świeczek stało olbrzymie drzewko, sięgające sufitu. A pod nim paczki zawinięte w kolorową bibułę, przewiązane niebieskim sznureczkiem (to dla mnie) i czerwonym (dla mojego brata). Dłuższy czas staliśmy w niemej kontemplacji chwili ziszczeń — olśnieni — zachwyceni — oczarowani całkowicie i bez reszty. Drzwi „wielkiej tajemnicy” nigdy nas nie zawiodły. Coś nadziemskiego drgało w powietrzu, jakby anielskie włosy z choinki rozsunęły się po całym pokoju. Ach! któżby nie wierzy w anioły!?


Dopiero pierwsze akordy kolendy granej na fortepianie przez naszą nauczycielkę, wyrwały nas z zachwyty. Bieglyśmy obaj pod drzewko i drżącymi rękami rozwiązywaliśmy kolorowe sznureczki. Któż opisze te szczęsny zamęt w dziecinnej główce, gdy ręce dotykają już jakiegoś „cudu”, ostoiętego jeszcze ostatnią warstwą bibuły. A oto z pod kolorowego papieru błysnął róg pudełka. Co tam? Żelazna kolejka z lokomotywą, klecki czy rewja ołowianych żołnierzy? Ruch paluszków nie może nadażyć ciekawości — płacze się sznurek, palce i myśli w jedną bezgłośnie szczęśliwość.

I przyszedł czas, że „tajemnicze drzwi” zamknęły się przedemną na zawsze. Rokrocznie nadchodziły wigilie, lecz drzwi „wielkiej tajemnicy” nigdy się już przedemną nie otwierały. Bajka pozostała w moim pokoju dzieciennym, który opuściłem tak dawno... Z rodzinnego domu zabrałem stare fotografie, trochę mebli i obrazów — lecz baśni dzieciństwa zabrać się nie dało.

Dopiero w tym roku, gdy po raz pierwszy po wielu latach w moim domu zapłonęła choinka, patrząc w szeroko rozwarłe zachwycone oczy mej malutkiej córeczki, spostrzegłem, że drzwi „wielkiej tajemnicy” znów się przedemną otworzy...

Juliusz Mieroszewski.

**ZEGARKI-SREBRA STOKOWE
PLATERY**
oraz wszelkie wyroby jubilerskie najtaniej
EMIL GOLDWASSER KRAKÓW UL. GRODZKA 25
BEZPŁATNIE wysyła bogatą ilustr. cenniki



KĄCIK FILATELISTYCZNY



Znaczki wydane na cele młodzieżowe.
Na lewo: Szwajcaria oraz Holandia.

Dziwnym zbiegiem okoliczności możemy właśnie w numerze gwiazdkowym zareprodukować najpiękniejsze znaczki jakie ukazały się w całym tym sezonie. A więc przede wszystkim Austria! Oto seria dobroczynna przedstawiająca słynnych techników i wynalazców, która pod względem wykonania nie ma lepszych od siebie, a równe zaś tylko w poprzednich seriach „wodzów” i „muzyków” w klasycznych markach U. S. A.

Do wartości nominalnej pobierane są dopłaty o tej samej wysokości, czyli że całość kosztowała 4.60 Sch. Poszczególne sztuki przedstawiają: 12 gr. (brązowa), J. Ressel 1793—1857, wynalazca śruby okrętowej, 24 gr. (fioletowa), v. Ghega budowniczy kolei na Semmering o 15 tunelach i 16 wiaduktach, 30 gr. (karmazynowa), Werndl 1831—1889 konstruktor karabinów, 40 gr. (szara), Auer Freiherr v. Welsbach, wynalazca światła gazowego, osmium itd. itd. Dwie najwyższe wartości to wizerunki także obecnie żyjących v. Liebena (niebieska) i Kaplana (zielona). Bardzo racjonalnym jest podanie na samych znaczkach nazwisk, to czego zapowiedziano kilkakrotnie przedtem (z firmy „Przybory filatelistyczne”, Kraków, Przemysłowa 7).

Śliczny w pomysł i wykonaniu jest holenderski „aniołek z trąbką”. Seria obejmuje również jak i wszystkie poprzednie („Voor het Kind”) i wartości o niewielkich dopłatach, barwy te same co zwyczajnie, wykonanie — heliografura.

Pewna różnica zachodzi natomiast w najstarszej ze seryj dobroczynnych czyli szwajcarskich „Pro Juventute”. Przez 9 lat zrzędu najdroższa sztuka za 30+10 c. przedstawiała różne słynne osobistości, a obecnie przeciwnie, portret zobaczą Czytelnicy „Kącika” w następnym numerze na marce za 5+5 c. a pozostałe sztuki to dalsze stroje regionalne. Wykonanie: tylko heliografura, barwy ustalone już według wartości.

Poważnym wydarzeniem w polskim świecie filatelistycznym jest wyto-

NAJMILSZY PODAREK ŚWIĄTECZNY



Brzutekwi



niedosięgnięte!

czenia pozwu przez znakomite osobistości naszych klubów, a mianowicie pp. prof. Łaszkiewicza i Dr Tislowitza oraz Włodzimierza Rachmanowa przeciwko Józefowi Millerowi w Bielsku o występki zniesławienia. W każdym razie ten kto czytał osławioną broszurę p. t.: „13 lat walki o honor i cześć” zrozumiał odrazu, że pisanie podobnych bredni to nie sposób walki „o honor i cześć”. Ze zrozumiałem zainteresowaniem śledzić będziemy przebieg tego procesu, prowadzonego ze strony powodów przez filatelistów — mecenasa dr. Landana i jeśli nam tylko miejsce na to pozwoli, zapoznamy Czytelników ze wszystkimi szczegółami.



Najnowsza seria znaczków austriackich, wydana ku czci wielkich uczonych tego kraju. Od lewej w górnym rzędzie: Józef Ressel, twórca parowca śrubowego r. 1829, Karol von Ghega, zbudował kolej na Semmering r. 1854, Józef Werndl, twórca nowego typu karabinów, Karol br. Auer von Welsbach, znany fizyk, Robert von Lieben, znany fizyk oraz Wiktor Kaplan, twórca turbiny swego nazwiska r. 1912.

Innego rodzaju ewenementem jest ukazanie się „Małego Katalogu Znaczków Polskich” Witkowskiego. Podobny cenik jest wprost niezbędnym dla każdego zbieracza, bo informuje nas lepiej o cenach aniżeli którykolwiek katalog zagraniczny. Naturalnie, że mamy i tu do czynienia z cenami „rabatowymi” ale zato słowniki wartości znaczków jest uchwycony nadzwyczaj trafnie. Może się tylko wydawać jakoby zdarzały się stawki niewłaściwe, ale to złudzenie, bo zapasy danej sztuki są bardzo nierównomiernie rozłożone w różnych miejscowościach. W. H.

IRENA WIELGUSÓWNA

W TE JEDNA, NOC

opowiadanie wigilijne

4

Zakręcił się dookoła świerka, poszarpał na nim biały kożuch i zagnęła przycupnął na ziemi, pod ciężkimi, nisko zwisającymi gałęziami. Poto tylko, aby za chwilę zerwać się znowu, w dzikim, nieprzytomnym pędzie śmignąć ku górze i pokusować dalej.

Hasał wiatr po lesie, targał czuby zimnych, zakrzepłych w sobie drzew. Zdzierał z nich ciężkie, śnieżne okiście i mocnym, świszczącym dechem lodowatych płuc rozdmuchiwał je na sypki, zwiewny pył. Wyszarpował z pod śniegu zrudziałe kępki trawy, stukał w konary drzew, syczał, pędził, zawracał, pienił się w złości bezsilnej tumanami roztrzępewanego śniegu.

W starym, mocnym lesie oszalał bies — rozpętało się лихо...

Pod lasem, w chacie kowala niewiele było lepiej. Stara kowalka zła dziś była od rana samego, jak osa i całą złość swoją — jak to zwykle bywa, zwała na synową. A to jej pod ręce się pcha i zawadza — a to położy tam, gdzie nie trzeba — to znowu niezdarnie pomaga w robocie.

Synowa, choć do łajania ciągłego przyzwyczajona i pogodzona z niem prawie — bo przecież biedna była i do chałupy męża nie prawie swojego nie przyniosła, bo tylko te chustki dwie i pierzynę jedną, lichą w dodatku — dziś przecie, w takim dniu, kiedy do głowy pchają się wspominki o tem, jak to było dawniej, kiedy mamusia nieboszka żyła, a tatuś z lasa ośnieżoną choinkę przynosił — dziś ciężej jakoś było znosić złość i łajania świekry.

Pomaga synowa, stara się, jak może, tylko ła jedna i druga kapnie jej to na ławkę, gdzie postawiła przyniesioną konewkę z wodą, to na strucłę, którą za małą chwilę trzeba będzie wyjąć z pieca.

A w kowalkę jakby z dziesięć ognistych diabłów wlało. To łyżką o ziemię odmieniło, to znowu udrze się tak, że aż ją w opłotkach słyhać.

Syn na ławie pod oknem usiadł, papirusa kurzy i spokojnie patrzy na to, co matka wydziwia.

— A dyć byście choć dziś, przy świętej wigiliji dali spokój — może by się wam potem na cały rok na lepsze odmieniło, bo już w całej wsi wiedzą coście za jedna i prześmiejczy z was robia.

Syknęła kowalka, bo w prędkości rozpalony garnek gołą ręką za ucho utapiła. Radaby cały wrzątek na głowę synowi wylała, ale nie śmie. Mocny jest i do bijatyki przedki. Ale niechby to był stary, albo która z dziewczuch — no!

— Nie chcesz słuchać, to se idź — od-

Syn, jednak to co innego. W matkę widać się wdał. Taką se pocieche wychował, że się nieraz przed drugimi na niego użalać musiała, choć oboje jedno wiedzieli. Plakała na niego i Hanka, a dziewczuchy radeby czempredziej za męż się powydawać, aby ino z domu iść, między ludzi.

Uwijały się baby, bo dzień krótki i ino patrzeć, jak się mroczyć zacznie. A roboty huk. I w stajni, koło bydła i w izbach porządki pokończyć i do wilji wszystko przygotować.

Kowalka swarą z synem jeszcze więcej pozłoszczona utykała na kim mogła. Dziewuchy szturkały się po kątach, każda radaby robotę co cięższą na drugą złożyć. A wszystko zwała się na Hankę, której lzy za nic nie chciały obeschnąć. Bo to tak, jakby jej kto książkę z obrazkami, kartka po kartce przed oczami przewracał, tak dziś akuratnie przypominała sobie wszystko. I mamusię, niebożyczkę, co ją, Hankę, jedną tylko miała i choć bieda była w chacie, co tylko mogła najlepszego pod gębę jej podtykała. Wspomniła sobie i tatusia, jak bez dwie zimy ciągiem ino chorował i dopiero łońskiego roku, w samiuśkie święta zmarł.

Użalała się nad swoją sierocą dolą, bo się jej akurat przypominały wszystkie krzywdy i swarzenia, jakie ciągiem od kowalki słyszała, odkąd tylko za Józkim była. A Józek, choć ją ta niby przed matką broni, nie taki jak se zrazu myślała — oj, nie taki...

Kowalka zaś rządzi, poganiania a pomstuje. Już to trzeba przynajmniej, że sekutnica z niej szczera, ale i gospodyn, jak się patrzy. Wszystko musi być zrobione w porządku, jak trzeba.

Tak to w chacie kowala pod lasem pełno było krzyku, wymyślań, churkotania.

W lesie zaś grasował wiatr. Niewiele jednak mógł poradzić. Pootrzasał śnieg ze wszystkich już niemal drzew, porobił zasy i wydmuchy. A teraz syczał, świstał i tłukł się bez celu. O! tak tylko — aby ludziom na złość, a sobie na uciechę.

Czasami zapędział się niżej, ku pustym polom, ale znudzony tem, że nikt mu się nie sprzeciwia, ani na drodze nie staje, drugą stroną zawracał do lasu.

I znow ten sam łaniec, te same harce i poświsty.

Nagle na niebie zaczęły zapalać się gwiazdy. Szybko jedna po drugiej, a chwilami i po kilka maraz. Jakby i one pokłóciły się o coś między sobą i żadna z nich drugiej pierwszeństwa dać nie chciała.

I od tych gwiazd chyba, wysoko na nie-

Nadchodziła noc.

Na szafirowym niebie wciąż zapalały się gwiazdy. Jaśniejsze i bardziej, niż zwykle, złote.

I z tych gwiazd chyba, wysoko na niebie rozgorzałych, płynęły melodje ciche, jakby na niebieskich wygrywane organach. Nuty kolęd i pieśni wigilijnych.

Poprzez zasy i wydmuchy — przez zagony i pola szerokie — skrawkami ścieżyn, zaledwie nikłym śladem stóp zaznaczonych — szła cicha, święta, wigilijna noc.

Skrecała na drogi polne — na gościńce szersze, przetarte — szła między płoty, do chat, do ludzi.

Pozapalały się w oknach żółte światła, jaśniejsze niż zwykle.

Na sercach ludzkich pokładły się dobroć, sprawiedliwość i uspokojenie. Dlatego, że gwiazdy na niebie zaświeciły, i że przyszła pora, aby każdemu dać to, co mu się należy.

I choć sobie niejeden w skrytości pomyślał, że to dzisiaj tak tylko, bo wilija święta — i że przez cały rok nieraz sobie na drugich krzywdować będzie musiał — przecie machał ręką na wszystko. A niech ta! — aby dziś tylko — aby choć jeden raz.

Więc Bogu dziękował za wszystko, choć nieraz, kiedy na biedotę jaką trafiło — niebardzo było i za co.

A kiedy jeszcze kolendę o Jezusie, co się w lichej urodził stajence, skrzypiącym głosem zaśpiewał — wtedy nie było już trosk, ani utrapień — wtedy dobroć, jak miód rozlewała się po sercu, a wróg, choćby i największy, bliskim się stawał.

Odnalazł i kowal swoje miejsce za stołem. Wszyscy do niego najpierw pchali się z opłatkiem — on pierwszy za łyżkę utapił i jadło do siebie przysunął. I choć mu zrazu trochę wstyd było, że go tak wszyscy za pierwszą osobę uważają — przecie rad się z tem pogodził.

A kowalkę jakby co odmieniło. Prawie nie ta sama, co zrana. Do każdego grzeczni, po imieniu, zagada, miski podsuwa, do jedzenia namawia.

Siedzi Hanka na rogu stołu, a oczy ma suche i jarzące. Józuś przy niej, za rękę ją trzyma i do ucha same przyjemne słowa pogaduje.

Siedzi Hanka cichutko i tak jej dobrze, że i u rodzonej niebożyczki nie było lepiej. Złote gwiazdy za oknem, wysoko, na niebieskich organach ciche wygrywają melodje.

Te same, które śpiewają w chacie kowala. Stare, odwieczne kolendy, tkliwe, żalodne, współczujące.

Litują się ludzie nad łosem Bożej Dzie-

PRZYGOTUJ CEDIBĄ PUDER i RÓZ, CUDNY KARNAWAŁ ZBLIŻA SIĘ JUŻ

rzekła. — A Hanusię swoją z sobą se weź — nie wielka mi z niej pomoc i wyreka...

Kowal cicho do izby się wsunął i przy samych drzwiach stanął, żeby łatwiej mu było uciec, jakby — nie daj Boże — na co więcej się zanosilo. Taki to był chłop z niego. Rękę miał mocną, zdątną do młota i kowadła, ale z babą nijak sobie poradzić nie umiał.

bie rozgorzałych, na ziemi dziać zaczęły się dziwy.

Więc najpierw wiatr-hulaka, co właśnie od pól szerokich ku lasowi zawrócił, przysiadł na skraju polany, skulił się pod drzewkiem, z samego brzegu rosnącym, i już tylko ledwo że ledwo dychał.

Rozwiodło się po lesie milczenie głębokie i tylko szumem cichości gładzące.

ciny w ten święty wieczór wigilijny, choć ich twarde serca na dzień powszedni tak mało mają litości.

W starych, dziwnych słowach od wieków śpiewanych kolend, zatracają wszystkie złości, smutki i zgryzoty.

I tak co rok, w tę jedną jedyną noc, ponad biedną, utrapioną wsią rozwiesza swe skrzydła szerokie dobry anioł poezji.



Powyżej na lewo: Fred Kohler.



Ponizej na lewo: Gaston Jacquet.

grupy. Do pierwszej należeli wytworni przestępcy, do drugiej zaś brutale. Pierwsi oszukiwali, kombinowali i uwodzili, tamci bili, gwałcili i mordowali.

Członkowie filmowego klubu wyfraczonych złoczyńców najprędzej dali się nawrócić na drogę cnoty i porzucili swoje niedźwiedznie role, aby poświęcić się innemu, bardziej ogólnoludzkim. Uczynili to przede wszystkim czterej panowie o klasycznych wąsikach: William Powell, Adolf Menjou, Jack Holt i Lew Cody.

William Powell, jeden z najinteligentniejszych aktorów ekranu amerykańskiego, rozpoczął swoją karierę, jako przysięgły „zły

duch” swojego brata Davida Powella, nie żyjącego już dzisiaj amanta. Po kilku latach poznali się reżyserzy na talencie Williama Powella i zaczęli powierzać mu role bardziej skomplikowane i sympatyczne. Jako amant charakterystyczny, stał się Powell ulubieńcem publiczności, która umiała ocenić jego dyskretny humor.

Karjera Adolfa Menjou była nieco podobna do dziejów Powella. Przez szereg lat talent jego marniał w kleszczach szablonu. W dziesiątkach filmów grywał role łotrzyków, aż wreszcie Charlie Chaplin zwrócił uwagę na jego możliwości i powierzył mu trudną rolę Piotra Revela w swoim filmie dramatycznym „Półświatek paryski” (A Wo-

Tacy aktorzy, jak Frank Campeau (zawodowy szeryf z początkowych filmów Douglasa Fairbanksa), Donald Crisp (bokser ze „Złamanej lilii”), Clarence Burton (z filmów Cecila B. de Mille’a), Raymond Hatton i Wallace Mac Donald (ostatnio w filmie „Papua”), Robert Mac Kim, Fred Kohler, Bull Montana, Walter Long, Dick Sutherland, czy wreszcie popularny ongiś Ernest Torrence stanowili przez szereg lat bandę łobuzów i opryszków najgorszego autoramentu. Niektórzy z nich dzisiaj już nie żyją, inni znów zmienili genre.

Dwaj aktorzy francuscy, przebywający przez kilka lat w Hollywood — Léon Bary i Charles de Rochefort — grali zawsze w Kalifornii role bandytów w białych rękawiczkach. Po powrocie do Francji rozszerzyli swoje pole działania i niekiedy tylko odzywają się w nich dawne złe instynkty.

Wallace Beery, który dawniej grywał wy-



Wallace Beery.

METAMORFOZY „CZARNYCH CHARAKTERÓW” EKRANU

Niemal od zarania dziejów kinematografii, aż do czasów bezpośrednio poprzedzających zniknięcie filmu niemeo, standardową obsadę obrazów filmowych stanowiła trójka, złożona z amanta, amantki i „czarnego charakteru”. Utarty szablon chciał, aby to ciemne indywiduum, zwane w kinematografii amerykańskiej „heavy”, a w francuskiej „vilain”, triumfowało i brało górę w akcie trzecim, aby po zwarjowanym wyścigu aktu piątego, dostać od amanta porządne lanie w akcie szóstym!

Byli również tacy, którzy prześladowali bohaterów przez sześć czy osiem seryj i bywali zgładzani w ostatnim akcie ostatniej serji, a więc po 36 lub 48 aktach niebywałych wyczynów. Owa „trzecia rola” posiadała specjalne znaczenie zwłaszcza w filmach amerykańskich, gdzie „szwarccharaktery” dzieliły się na dwie zasadnicze

man from Paris). Film ten stał się punktem zwrotnym w karierze Adolfa Menjou. Odtąd grywał role „normalne”. Ostatnio gwiazda jego nieco przyglądała, ale w każdym razie zerwał on raz na zawsze z szablonem „szwarccharakterów”.

Trzeci z tej grupy, męzny Jack Holt, dość szybko zrezygnował ze „straszenia ludzi”, bo powołano go do grywania ról szlachetnych cow-boy’ów i sportowców po śmierci ulubieńca Ameryki, Wallace’a Reida. W czasach filmu dźwiękowego Holt był bohaterem szeregu filmów reżysera Franka Capry, a już zupełnie niedawno podziwialiśmy go, jako rycerskiego pułkownika wojsk północnych w „Małym buntowniku” z Shirley Temple. Również zmarły przed kilku laty Lew Cody zamęczał napierw w szeregu obrazów przeróżne Normy i Almy, zanim oświadczył nim lepsze uczucia.



Hans Adalbert v. Schlettow



Bazyli Sikiewicz.



Konrad Veidt.

łącznie szablonowe role rzezimieszków, dzisiaj jeszcze niejednokrotnie odtwarza postaci najohydniejszego gatunku, ale rozszerzył znacznie swoje możliwości aktorskie. Jest on dzisiaj jednym z najlepszych aktorów charakterystycznych światowego ekranu. Jego brat Noah Beery stracił znacznie na popularności. Przebywa on obecnie w Anglii, gdzie ukazuje się sporadycznie w filmach krajowej produkcji.

Jean Hersholt i Leon Carillo osiągnęli dużą popularność od czasu, kiedy poświęcili się rolom sympatycznym, natomiast Stuart Holmes porzucił całkowicie ekran i zajął się pracą dziennikarską. Z dawnych „czarnych charakterów” wierni swojemu powołaniu pozostali: Gustaw von Seyffertitz, grający nadal role szpiegów i srogich oficerów, Alan Hale (ostatnio grał rolę doktora Kruga w „Bohaterze”) i mało u nas znany Philo Mac Cullough. Niniejsza lista „villain’ów” ekranu amerykańskiego nie byłaby kompletna, gdybyśmy nie wspomnieli i o tem, że rozpoczynali swoją karierę filmową w charakterze „czarnych typów”: nieżyjący już „człowiek o stu twarzach” Lon Chaney i późniejszy reżyser Eryk von Stroheim.

Kinematografia niemiecka nie знаła prawie wcale typu stuprocentowego „szwarccharakteru”. Niesympatyczne role grwali częstokroć aktorzy charakterystyczni. Albert Bassermann, Werner Krauss, Paul Wegener, Rudolf Klein — Rogge, Bernhard Goetzke czy Heinrich George, ale „regularnymi” ciemnymi typami byli właściwie tylko Conrad Veidt przez długie lata wyspecjalizowany w rolach szaleńców i sadyistów, i Hans-Adalbert von Schlettow, pamiętny Hagen Tronje z „Nibelungów”.

W przeciwieństwie do niemieckiego — film francuski zna w swoich dziejach cały



Gustaw v. Seyffertitz.

szereg zawodowych łotrów, z których kilku grasuje jeszcze do dziś dnia. Ojcem francuskich czarnych typów był nieżyjący dzisiejszy reżyser Louis Feuillade, który wprowadził na ekran kilka „ciemnych” typów, mających za zadanie dokuczanie biednej sierotce (Sandra Milovanoff) lub też dostarczać tematów dla wyczynów pamiętnego Judexa. Na czele owej bandy opryszków stali dwaj wytwórni panowie: Edouard Mathé i Fernand Herrmann, a „mokre roboty” wykonywali zawsze z ich polecenia Gaston Michel, Emile André, Louis Leubas czy Charpentier. Czo-

łowymi bandytami i opryszkami innych filmów francuskiej produkcji byli przez długie lata René Navarre, Gaston Modot, Paul Vermoyal, José Davert, Acho Chakatouny, Maxudian, Charles Vanel i Gaston Jacquet. Ostatni dwaj zmienili później rodzaj ról, przerzucając się do rozmaitych kategorii. Vanel grał ostatnio nader trudną rolę męża w „Załodze” Kessela. Gaston Jacquet, który grywał z jednakiem powodzeniem role antypatyczne i amantów, role kostjumowe i komików charakterystycznych, powrócił ostatnio do ról łotrzyków w „Potworze” Duviviera. W ostatnich latach wybitne miejsca w galerii przestępców zajmują Jean Galland (adjutant z filmu „Tajna brygada”) i Jean Max (Koenigsmark, Oczy czarne i Tajna brygada).

Z pośród mniejszych państw, Italia miała dwóch wybitnych przedstawicieli omawianego w niniejszym artykule „emploi” aktorskiego. Byli nimi nieżyjący już dzisiaj znani artyści Amleto Novelli i Emilio Ghione (niezapomniany Zalamberti). W Polsce nieraz zdarzało się, że rozmaici aktorzy sceny czy filmu grali antypatyczne postaci (Stępowski, Jaracz, Samborski, Węgrzyn, Orwid i inni), ale najwybitniejsze kreacje tego typu dali bezwzględnie popularny Lech Owron i znakomity Bazyli Sikiewicz, którego rola kozackiego oficera w „Roku 1914” pozostała poprostu klasyczną. W ostatnich miesiącach Wacław Pawłowski wskrzesił w „Trędowatej” najgorszą tradycję szablonowego „szwarccharakteru”, który ohy już zniknął nazawsze! Obecny poziom artystyczny kinematografii wymaga, by na ekranie poruszali się żywi ludzie, a nie kukły. Szablonowy „czarny charakter” przeszedł do historii. Zachowajmy o nim „miłe” wspomnienie, ale nie wyciągajmy go z lamusa!

Karol Ford.



Nieustanna radość
daje upominek gwiazdkowy —
kamera fotograficzna
„Kodak”

dla dzieci, młodzieży, początkujących »KODAK» Baby Brownie zł. 12.50
roz. 4 x 6 1/2 cm.

dla wprawionych »KODAK» Vollenda 620 zł. 165.
obj. f. 4.5 mig. Compur od
roz. 6x9 cm.

dla zaawansowanych »KODAK» Retina zł. 195.
obj. f. 3.5 mig. Compur od
roz. 24x36 mm.

Do nabycia w każdym Fotoskładzie.
KODAK Sp. z o. o. Warszawa, Plac Napoleona 5.



Chlubą pani domu

Ozdobą mieszkania

Jest ćmielowska porcelana

Piękna, trwała, tania.

HAFTY LUDOWE ZIEMI KRAKOWSKIEJ I PODHALA



Parzenica góralska w kolorach czerwonym i czarnym.

Sztuka ludowa, będąca spontanicznym wyrazem poczucia artystycznego naszego ludu, budziła i budzi coraz większe zainteresowanie. Jej prymitywność i szczerść, wysokie poczucie barwy i ornamentalnego rytmu, różnorodność i wartość estetyczna motywów — wszystko to są walory, które dopiero wiek dwudziesty umiał należycie ocenić. W ślad za tem zainteresowaniem poszły wzmożone wysiłki, aby sztukę ludową ochraniać i nie dać jej wygasnąć, aby w ludzie naszym utrwalić zamiłowanie do stroju i zdobnictwa opartego o piękną rodzimą tradycję. Niestety usiłowania te nie mogą dać oczekiwanych rezultatów i powolny upadek sztuki ludowej zdaje się być nieuchronny. Wiele przyczyn się na to składa. Wytwórczość fabryczna konkurująca taniością z wytworami ręcznymi, zmienne warunki życia naszej wsi, postęp oświatowy i techniczny, atrakcyjność miast — oto czynniki, które składają się na niekorzystne dla rozwoju ludowego stroju i zdobnictwa podłoże społeczne i ekonomiczne. A nie zapominajmy, że sztuka ludowa, to zjawisko spontaniczne i samorodne, rządzące się własnymi prawami i żadna programowa akcja nie sforsuje jej istnienia na tych terenach, na których swobodny jej rozwój traci warunki istnienia, psychiczne i materialne. Sztucznie nie da się jej wskrzesić.

Jedyną więc celową formą zainteresowania i pietysmu dla wytworów sztuki ludowej, jest zbieranie ich, ochraniać przed

Koronka do spódnicy z Skawiny, r. 1840.

zniszczeniem i właściwe konserwowanie i udostępnianie szerszym warstwom w od powiednio urządzonych muzeach.

Jedną z piękniejszych i bogatszych gałęzi artystycznej wytwórczości naszego ludu jest hafciarstwo. Zasięgiem swym obejmuje niemal cały kraj, a różnice w kolorystyce, formach ornamentu i technikach pomiędzy poszczególnymi połaciami kraju są znaczne. Toteż nie sposób mówić ogólnikowo o haftcie ludowym w Polsce, poprzestając na czcnych określeniach. Piękne, na roślinnych motywach oparte hafty ziemi krakowskiej nie wiele mają wspólnego z prymitywniejszym, geometrycznym haftem poleskim, a barwne szlaki ruskie z kunsztownym haftem na tiulu z Wielkopolski. Toteż w niniejszym artykule omówimy jedynie ludowe hafty ziemi krakowskiej, jako najstarsze, na najwyższym znajdujące się szczeblu rozwoju, oraz terytorjalnie, a niekiedy i pod względem techniki bliższe im hafciarstwo Podhala, szerzej mówiąc — góralskie.

Że hafciarstwo okolic Krakowa jest najstarszem na ziemiach polskich, na to mamy wiele dowodów. Cykl „Typów polskich” Norblina, znajdujący się w Muzeum XX. Czarotoryskich w Krakowie, a wydany przez Bystronia, potwierdza to w zupełności. Podczas gdy chłopci z innych okolic mają je-



Kryza haftowana do koszuli kobiecej z Zalipia, powiat Dąbrowa.



Ciekawie haftowany kołnierz z Pienin.

szcze stroje gładkie pozbawione wyszywań, na ubiorach krakowiaków widzimy już haftowane szlaki i inne ozdoby. Również wysoka biegłość i doskonałość poczucia kompozycji krakowskich hafciarek wskazuje na starą i wykształconą tradycję, a motywy roślinne, które się posługują, wskazują na wyższy stopień rozwoju, który w zdobnictwie ludowym z reguły idzie od prymitywniejszego ornamentu geometrycznego, abstrakcyjnego, do botanicznego, od linearnego do płaszczyznowego.

Najpiękniejszy i najbujniejszy rozwój haftu w okolicach Krakowa przypada na drugą połowę ubiegłego stulecia. Dziś — jak wszędzie — zanika on, tradycja się rwie, czystość stylu zaciera, produkcja maleje. Łączy się to ściśle z zanikaniem krakowskiego stroju, którego haft jest uzupełnieniem i ozdobą. W bliższych okolicach Krakowa znany jest tylko haft biały, który występuje na tzw. chustach czepecowych, kołnierzach i przodach koszul, oraz na fartuszkach. Haft kolorowy zdobiący kołnierze czy sukienki (zwane też bógzapłackami) sukman męskich, oraz kryzy koszul kobiecych, występują jedynie na tzw. Powiślu Dąbiowskim, u ujścia Dunajca do Wisły. Barwne gorsety krakowianek z reguły zdobione są naszytymi szychowem, koralami i pompomami z włóczki, lecz haft się na nich nie pojawia.

Technika hafciarstwa krakowskiego ogranicza się do dziergania t. zw. dziurek, pla-



Narożnik chusty czepcowej z Kocmyrzowa, powiat Kraków.

skiego ściegu atlaskowego i ażurowych wypełnień robionych igłą, zwanych „robót kami”. Zato różnorodność motywów jest duża, a ogólny ich charakter zdradza wpływy stylu barokowego, który w okresie bujnego rozkwitu hafciarstwa krakowskiego w w. XIX trwał jeszcze w konserwatywnej sztuce prowincjonalnej, w snyderstwie i haftach kościelnych wiejskich kościołów.

Najbogatszą częścią stroju kobiet podkrakowskich pod względem haftu, i zarazem dla tych okolic najtypowszą jest tzw. chusta czepcowa. Jest to kwadrat z białego płótna o boku około 1,20 m, ozdobiony obficie białym haftem. Kompozycyjnie występują tu trzy elementy: brzeg cz. ząbki, bogato nie raz rozczłonkowane i uzupełnione wypełnieniami, szlak i na jednym rogu duży motyw cz., trójkąt. Chusty te złożone w trójkąt wiążą kobiety naokoło głowy w charakterystyczny sposób, a po rodzaju wiązania węzła poznają się wieśniaczki z poszczególnych parafij.

Hafty kolorowe z Powiśla Dąbrowskiego faworyzują przede wszystkim kolory czarny i czerwony. Poszczególne motywy roślinne haftu krakowskiego noszą swoiste nazwy, jak „pecoki” (małe listki okrągłe), „piórka” (listki podłużne) itp. W skład ich wchodzi kwiaty róży, granatu, kłosa pszeniczne, winogrod wraz z gronami, serca i rozmaite listeczki i gałązki. Główne centra haftu krakowskiego, to Tyniec, Czernichów, Skawina. kolorowego zaś Zalipie koło Dąbrowy.

Haft podhalański, opierający się jeszcze przeważnie na formach abstrakcyjnych, geometrycznych, występuje najczęściej jako ozdoba stroju męskiego, w barwnych i bogatych parzenicach na spodniach, na serdakach i na szlakach guń, białych zaś na bieleńszych kobiecej i na poszwach poduszek, które w izbie góralskiej stanowią nie tylko przedmiot użytkowy, lecz legitymację zamoż-



Haft na fartuszkach z Skawiny, rok 1840.

Poniżej: Wnętrze góralskiej izby w miejscowości Stare Bystre, powiat Nowy Targ, odznacza się wielkim bogactwem haftowanych poduszek. Przykro odbija fabryczna niemiecka poszwa z napisem „Gute Nacht”.

Wszystkie zdjęcia ze zbiorów Muzeum Etnograficznego na Wawelu.



Hafciarka Zofia Szablina z Gręboszowa, pow. Dąbrowa, w pięknie haftowanej koszuli.



Haftowana kryza do koszuli kobiecej z Zalipia, powiat Dąbrowa.

ności domu i element dekoracji wnętrza. Ustawia się je na wysoko, aż pod powałę, zastanem łóżku w charakterystyczny sposób, pozwalający na uwidocznienie efektu bogatych ażurowych szlaków. Różnorodność motywów białego haftu podhalańskiego jest dość ograniczona, cała zaś pomysłowość i fantazja zdobnicza hafciarzy góralskich wyraża się w pełni w hafcie kolorowym.

W hafcie tym największą rolę grają tzw. parzenice przy rozcięciu spodni. Pochodzenia tej formy nie da się ściśle ustalić. Nie wątpliwym jest jednak faktem, że szamerunki mundurów huzarów węgierskich nie pozostały bez wpływu na powstanie tzw. parzenicy pellowej. Z początku parzenice wykonywano z barwionego sznura, zrazu wyłącznie czerwonego, potem czerwono-niebieskie, w końcu technika hafciarska zastąpiła naszywanie sznura, a zasób barw się wzbogacił. Góralscy krawcy odbijają wzór parzenicy zapomocą drewnianej formy na całkowicie już spodniach, haftują go zaś ściegami łańcuszkowym i płaskim. Robotę tę wykonywują przeważnie młodzi chłopcy, zaprawieni do niej przez ojca-krawca niemal od dzieciństwa. Szanujący się krawiec góralski umie wyhaftować co najmniej 6—7 odmian motywu parzenicy, a cena „cyfrowania” zależy od ilości zastosowanych barw i motywów. Niestety pstrokałość jaskrawych kolorów dzisiejszych parzenic i nadmiar drobnych kwiatowych ornamentów są znamionami upadku tej pięknej i tak oryginalnej formy zdobniczej, zanikającej zresztą wraz z strojem góralskim.

Barwne szlaki na serdakach i guniach haftują górale również ściegiem łańcuszkowym i płaskim, lecz i tu coraz trudniej o czyście dawne motywy, a fabryczna tandeta zw. zakopiańszczyzną wyparła i skaziła szlachetność barw i ornamentu. Strój góralski piękny i strojny, ale niepraktyczny i drogi, z wolna ustępuje miejsca banalnemu strojom miejskim, a wraz z nim hafciarstwo ludowe naszego Podhala kurczy się i wygasa.

Ewa Mieroszewska.



Ilustracja Włodzimierza Tetmajera do książkowego wydania „Bełnem Polskie” L. Rydla.

BOŻE NARODZENIE NA SCENIE KRAKOWSKIEGO TEATRU

Scena z „Wyzwolenia” Stanisława Wyspiańskiego na scenie krakowskiego Teatru. Jako Konrad — J. Osterwa.

Rzecz dzieje się na scenie teatru krakowskiego. Tak określił na karcie tytułowej Stanisław Wyspiański miejsce, w którym rozgrywa się akcja jego genialnego dramatu — „Wyzwolenie”, będącego równocześnie najwspanialszym pomnikiem, poświęconym znaczeniu krakowskiej sceny.

Konrad, walczący o rząd dusz, szukający drogi, wiodącej do zdobycia niepodległości państwa, znalazłszy się sam na wielkiej, pustej scenie, w jasnowidzeniu odnajduje wielkie prawdy i najlepsze drogowskazy. Gdy skończył rozmowę z Maskami, ze sceny tworzy się mroczne wnętrze dużego pokoju, otwierają się podwoje środkowej ściany i „widać izbę niewielką mieszkalną i drzewko oświetlone i ustrojone, zawieszane u stropu. Nad kolebką pochylona matka ssać daje piersi dzieciątka i kołysze się w takt nuconej półgłosem kolendy. Aniołowie obstąpili kolebkę chórem...”

Nastrój wigilijny, wizja narodzin Bożych na scenie krakowskiego teatru, budzi w duszy Konrada wiarę w zmartwychwstanie Polski.

Bożego narodzenia
ta noc jest dla nas święta.
Niech idą w zapomnienie
niewoli gnuśne pęta.

Daj nam poczucie siły
i Polskę daj nam żywą,
by słowa się spełniły
nad ziemią tą szczęśliwą.

Zwycięzę na tej ziemi,
z tej ziemi PAŃSTWO wskrzeszę.
Synami my twojemi
błogosław czyn i rzeszę!

Wizja przypomina Wyspiańskiemu, że największą świętością w życiu narodu jest rodzina, że ona jest podstawą państwowego bytu. W całej swej twórczości Wyspiański żywił wielki kult dla macierzyństwa, ale najwspanialszym tego wyrazem właśnie epizod w „Wyzwoleniu”, gdy na scenie krakowskiego teatru

Gwiazda zeszła i świeci
nad kolebką dziecięcą
nad miłością zabłysła matczyną.
Światło błysło stuleci,
radość nocy tej święcą:
Gwiazda zeszła nad ŚWIĘTĄ
RODZINĄ.

„Koniec memu błakaniu, koniec mojej udręce” uświadamia sobie Konrad, w strzeżeniu



Stróżnik Krzemieniecki Złota Czoszka (w dramacie J. Słowackiego) śpiewa Kolendę. W roli stróżnika L. Solski.



Prawdziwe
wieczne pióro
MONT-EVEREST

Nie ma celu zastanawiać się nad doborem upominku. Wystarczy kupić wieczne pióro szczerocięte Mont-Everest, które jednoczy w sobie zalety pięknego, użytecznego, wartościowego, trwałego i praktycznego upominku, zarówno dla młodzieży jakoteż dla dorosłych.

Mont-Everest



Krowoderskie zuchy (ze sztuki Turskiego) śpiewają kolendę przy szopce.

domowego ogniska widząc zhlizające się zmartwychwstanie.

Wspomniany tu epizod z „Wyzwolenia”, poświęcony nocy wigilijnej jest najpiękniej i najściślej związany z deskami sceny krakowskiego teatru. Epizod ten ma równocześnie doniosłe znaczenie proroctwa i wskazań dla narodu.

Sztuką teatralną, poświęconą Bożemu Narodzeniu, która równocześnie stała się modlitwą o wolność Polski oraz aktualną kroniką kolejnych przemian losu państwowego



Anioł (Surzyński) prowadzi Marię (T. Koronkiewicz) z Józefem (Wybrański) do Bełtem. Scena z „Pastorałki” L. Schillera.

POEZJA ZIMY...

GARMISCH PARTENKIRCHEN. Fot. dr. P. Wolff.



bytu, jest „Betlejem Polskie“ Lucjana Rydla. Od roku 1905 wznawiane było co rok w teatrze krakowskim i zawsze wzruszało piękną robotą literacką, nastrojem i uczuciem rodzinnem i patriotycznym, którem nabrzmiała są wszystkie sceny rydlowskich jasełek, a zwłaszcza odsłona ostatnia, gdy przedstawiciele całej Polski historycznej i współczesnej wędrują do szopki na błoniach krakowskich, by prosić Boże Dziecię — dawniej o wolność, a później o błogosławieństwo dla wolnej już Ojczyzny.

Tekst tej odsłony zmieniał się niejednokrotnie, w r. 1918 zaktualizował go sam autor, pisząc w kancelarii dyrektora teatru, na wstrząsającą wieść o pokoju brzeskim, pło-

mienny wiersz dla unity podlaskiego, oskarżający krzywdzicieli Polski. Późniejsze przeróbki wychodziły kolejno z pióra M. Szukiewicza, E. Leszczyńskiego, J. Wiśniowskiego i A. Waśkowskiego.

Przed kilku laty próbowano zastąpić w Krakowie jasełka rydlowskie „Pastoralką“ L. Schillera, nadwyraz piękną. Ale nie miała powodzenia. Zresztą nie zdobyła go i we Lwowie. Publiczność wołała „Betlejem Polskie“. I choć obecnie krakowski teatr miejski nie wznawia już jasełek Rydla, tłumy ciągną na przedstawienia scen amatorskich.

Przez scenę krakowskiego teatru przeszło pozatem kilka wybitnych dzieł, w których motywy wigilijne, względnie obrzędowości

świąt Bożego Narodzenia odgrywają ważną rolę. Wystarczy wspomnieć tu kilka sztuk polskich, jak przedewszystkiem „Dziadów“ część III, „Złotą czaszkę“ Słowackiego, „Turonia“ Stefana Żeromskiego, „Ich czworo“ Zapolskiej.

Pełną nastroju jest scena ze „Złotej Czaszki“, gdy pan strażnik krzemieniecki zbiera obok siebie dziewczęta i uczy je śpiewać

kolendy. Podobnie, jak epizod wigilijny w „Wyzwoleniu“, zrodziło osobiste przeżycie i wspomnienie Wyspiańskiego, tak i epizod ze „Złotej Czaszki“ oparty jest na autentycznym wspomnieniu, a wyczarowany tęsknotą, gdy poeta na obczyźnie tęsknił za „jasną kolendą w przyćmionej piekarni“. Kolenda Słowackiego jest doskonale stylizowana na utwór XVII wieku.

Chrystus Pan się narodził,
Świat się cały odmłodził
Et mentes;

Nad sianem, nad żłóbeczkiem
Aniołek z aniołeczkiem
Ridentes.

Przyleciały wróbelki
Od Panny Zbawicielki
Cantantes;

Przyleciały łańcuchy
Łabędzi, srebrne puchy
Mutantes;

Puchu wzięła troszeczkę
Zrobiła poduszeczkę
Dzieciątku;

Potem je położyła
I sianem je nakryła
W żłobiątku.

W bieżącym sezonie grane są „Krowoderskie zuchy“ Turskiego, przypominające zwyczaj świąteczne dawnych przedmieść Krakowa.

(sub.)

Szczęśliwa gwiazdka przyniosła dziś w darze

Ovomaltyny puszkę
młodej parze!



Ovomaltyna zaopatruje organizm w najszlachetniejsze składniki odżywcze, wzmacnia osłabionych, podtrzymuje siły, tworzy energię. Pełni zdrowia i sił towarzyszy dobre samopoczucie i radość życia. Dlatego puszką Ovomaltyny to więcej niż życzenia szczęścia i zdrowia.

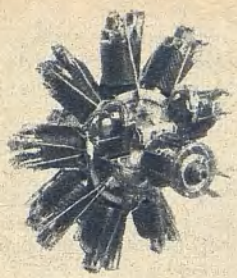
OVOMALTINE

Chłuba
polskiej pracy



GÓRNOŚLASKA
ŻARÓWKA
HELIOS

ST.A.

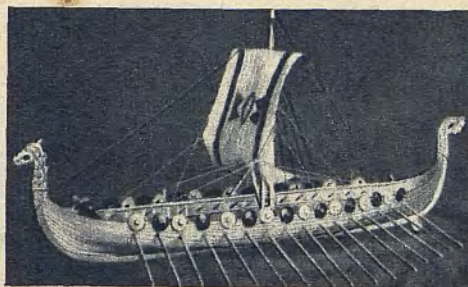


Motor „Wright” samolotu, na którym Karol Landbergh przeleciał przez Atlantyk.

ZDOBYWCY OCEANÓW



Model żaglowca z r. 1723 „Burford”.



Lódz Wikingów z IV w. po Chr. według modelu w „Deutsches Museum” w Monachjum.

Ongiś, przed wiekami, kiedy człowiek za ledwie odróżniał się od otaczających go zwierząt i kiedy jedynym celem jego była walka o życie i pożywienie, przeszkodą w zaspakajaniu jego instynktów typowego drapieżcy był mu niejednokrotnie element, który pokrywał naówczas większą część kuli ziemskiej i który dziś zwiemy „wodą”. Rzecz prosta, przeszkoda ta, nie była zupełnie nie do pokonania i przykład zwierząt pouczał, że przy pewnym ułożeniu głowy i tułowia oraz odpowiednich poruszeniach odnóży można się utrzymać na jej powierzchni, a nawet posuwać się naprzód. I nie w wątpliwości, że nasi ojcowie przebywali przestżenie wodne, pływając, jak i inne zwierzęta, z którymi żyli w tych samych warunkach. Rozum człowieka już bardzo wcześnie nakazał mu jednak szukać innych sposobów utrzymywania się na wodzie, a „żyłka” wynalazcza sprawiła, że problem żeglugi interesował go już tysiące lat temu. Pobudką do zajęcia się nim były zarówno złe warunki życia, jak i dążność do poruszania się swobodnie nie tylko na ziemi, lecz i na wodzie. Z czasem wyprawy, przedsięwzięte w celach łupieskich, przekształciły się w wyprawy handlowe. Ponieważ jednak praojcowie nasi wybierali się po złoto lub drogocenne korzenie w dalekie kraje, wędrowki po morzu otaczał urok tajemniczości, dzięki któremu zapominano o poziomych ściśle praktycznych ich celach, a uważano je za przedsięwzięcia o charakterze idealnym.

Organizowanie wypraw na morze i ich wyniki musiały pogłębić wiadomości mieszkańców wybrzeży, a że w miarę pogłębiania się tych wiadomości rosły i potrzeby, rozwój kultury poszczególnych szczepów i narodów szedł równoległe z ekspansją nie tylko na lądzie, ale i na morzu. Dla ludzi, przekonanych o wyższości rasy białej nad innymi, dzieje kultury ograniczają się do tego, co stworzyły plemiona, zamieszkujące Europę i wybrzeża morza Śródziemnego. Nie należy jednak zapominać, że w czasie, kiedy powstawała kultura egipska, a później hellenistyczna, na Dalekim Wschodzie, a także na drugiej półkuli ziemskiej istniały państwa, których cywilizacja stała bardzo wysoko, a które pozostały dla nas na zawsze obcymi. Co więcej, kultura Wschodu oparła się do dzisiejszego dnia wpływem Europy, a Chińczycy i Japończycy słusznie chlubić się mogą, że w wielu dziedzinach posiadają wiadomości o tysiące lat starsze od naszych. Odnosi się to i do sztuki żeglowania, sztuki ujarzmięcia mórz. Kiedy Weneccjanin Marco Polo (1256—1323) opowiadał swoim ziomkom po powrocie z długiej wyprawy na Wschód, że chińskie dżonki są pod każdym względem lepszymi okrętami od weneckich statków ówczesnych, wyśmiano go. A kiedy utrzymywał, że można nimi lepiej manewrować, że posiadają one na przodzie i w tyle nieprzepuszczalne komory i że wskutek tego nie mogą tonąć, okrzyczano go jako kłamcę i oszusta. A jednak dziś wiemy, że mówił prawdę. Przykład ten świadczy z jednej strony o bezgranicznej zarozumiałości mieszkańców Europy, z drugiej zaś o dawnych bardzo początkach kultury Wscho-

du, która wyprzedziła pod wieloma względami naszą o setki lat.

Na chwałę narodów europejskich powiedzieć jednak można, że odznaczały się one zawsze wielką aktywnością. Cywilizacje Wschodu popadły z czasem jakby w letarg, który umożliwił w ostatnim wieku nie tylko wyrównanie, ale i zwycięstwo Europy. Nie ulega jednak wątpliwości, że mieszkańcy wschodniej i południowej Azji dotarli do daleko położonych wysp na długi czas przedtem, nim Europejczycy nauczyli się sztuki żeglowania. Skąd przybył właściwie pierwszy kompas, który w czternastym wieku sprowadził taki przewrót w nawigacji, jeśli nie ze Wschodu? Wszystko przemawia za tem, że miejscem powstania jego były Chiny. O ile słusność wymaga, aby mądrym mieszkańcom Wschodu przyznać palme pierwszeństwa, jako żeglarzom i handlarzom, to jednak Zachód szedł w tej dziedzinie własnymi drogami, spóźniając się tylko w pierwszych etapach.

Pierwszymi odkrywcami naszego świata byli właściwie starożytni Egipcjanie. Przyswiewające im cele były wprowadzić natury bardzo prozaicznej: chodziło bowiem o zdobycie pewnych surowców w drodze handlu z obcymi plemionami bądź co bądź jednak zorganizowane przez nich wyprawy morskie świadczą pochlebnie o ich odwadze i przedsiębiorczości. Egipcjanie stworzyli również

pojęcie horyzontu, tego wielkiego kręgu, który na morzu i na pustyni zdaje się stanowić granicę między niebem a wodą względnie lądem, nazwawszy go od bożka Horusa, egipskiego Apollina. Fenicjanie, jako typowi handlarze wodni starożytności urządzali również bardzo dalekie wyprawy i budowali w tym celu okręty, różniące się zasadniczo od niezgrabnych statków Babilończyków, czy też Egipcjan. Mamy dowody, że zapędzali się w swoich wyprawach daleko poza Słupy Herkulesa, aż do Anglii i na Morze Niemieckie oraz Bałtyckie. Bałtyk musiał być naówczas prawdziwą skarbnicą dla odważnych handlarzy. Na wybrzeżach jego znajdowano bowiem bursztyn, przy pomocy którego damy rzymskie farbowały sobie włosy. A skoro raz weszły w modę rude włosy, używanie bursztynu stało się nieodzowną potrzebą, a droga morska z Bałtyku na południe jedną z najbardziej uczęszczanych dróg handlowych. Podobnie rzecz się miała w trzy tysiące lat później z perłami, za którymi w pogoni białych człowiek zapuszczał się w najodleglejsze zakątki oceanu Spokojnego.

Rzecz prosta, że Fenicjanie wazyli się nawet na wyprawy jeszcze bardziej ryzykowne. Wiadomo, że na zlecenie króla Nechona flota fenicka dotarła do Przylądka Dobrej Nadziei, a żeglarze fenicy oglądali Górę Stołową na długie wieki przed Vasco da Gama i jego towarzyszami. Kartagińczycy, którzy byli fenickimi kolonistami, zbadałi wybrzeża Afryki aż do Przylądka Blanco i założyli liczne stacje handlowe na wyspach Zielonego Przylądka na tysiąc siedemset lat przed pojawieniem się Portugalczyków.

Statki, na których urządzano te dalekie wyprawy, poruszano z pomocą wiosel. Ten system żeglowania był bardzo uciążliwy, gdyż wiosła, posuwające okręt naprzód, sławały się bezużyteczne podczas burzy, a obsługa ich wymagała zawsze wyćwiczonej załogi. Z jakimi trudnościami musiano walczyć świadczy fakt, że na biremach, a więc galerach, poruszanych tylko dwoma rzędami wiosel, były one tak ciężkie, że do obsługi jednego z nich potrzeba było aż pięciu ludzi. Dlatego też wiadomości o olbrzymich okrętach egipskich, lub rzymskich należy uważać za przesadne.

W wczesnym średniowieczu, a więc w okresie, kiedy w sztuce żeglowania od kilku stuleci panował właściwie zupełny zastój, nie mógł przeciętny armator zdobyć się na statek trzydziestotonnowy. Notatki o statkach pojemności trzydziestu tysięcy ton, a więc o takich przedwczesnych dreadnoughtach, obliczone były zatem na naiwność czytelników i słuchaczy. Świadczą o tem pozostałości po dawnych dokach okrętowych, świadczy również i stan dawnych portów rzymskich, których wygląd przemawia za tem, że pomieścić mogły okręty najwyższej na 32 metry długie. A przecież sława statków Neronowa, lub Kaliguli przetrwała do naszych czasów!

Wielkość okrętów nie odgrywała jednak w owych czasach większej roli i nie przeszkadzała im w wyprawach wojennych



Żaglowiec „Santa Maria” Krzysztofa Kolumba z pierwszej wyprawy odkrywczej. Rekonstrukcja z wystawy iberyjsko-amerykańskiej w Sewilli w roku 1929.



Powyżej od lewej: Wielcy odkrywcy: Krzysztof Kolumb i Vasco da Gama.

Dla mieszkańców morza Śródziemnego, a także dla Hiszpanów i Portugalczyków, zdobycie oceanu Atlantyckiego nie stanowiło z początku ani kwestii życia, ani zamożności. Przewrót, jaki wywołało z końcem czternastego stulecia wynalezienie prochu i za-

Poniżej: Żeglarska mapa świata z roku 1556, wykonana przez kartografa Baptystę Agnese, należy do nielicznych zabytków kartograficznych tego czasu.



i handlowych, których śmiałość może dziś budzić bezwzględny podziw. Człowiek czuł się na ówczesnych łupinach, nazywanych okrętami, zupełnie pewny, mimo, że budowa ich uniemożliwiała manewrowanie, a od załogi wymagała przeczucia się zgóry najprymitywniejszych wygod. Już w IX, względnie X wieku

naszej ery porywają się Wikingowie na zdobycie wielkiego morza, oceanu Atlantyckiego, przedostając się do Labradoru i rozpoczynając tam walkę z dzikimi, której wynikiem było odepchnięcie ludności tubylczej od wybrzeży. W porównaniu z okrętami rzymskimi i fenickimi były to stateczki bardzo szybkie, nie też dziwnego, że niektóre „sagi” wspominają o bohaterach, którzy podróż z Anglii do Danii odbyli w ciągu trzech dni i trzech nocy, a przestrzeń z Bergen w Norwegii do przylądka Farewell w Grenlandji w ciągu dni sześciu. Był to rekord nawet w porównaniu z naszymi czasami, jeśli się weźmie pod uwagę, że małe parowce potrzebują na odbycie drogi z Kopenhagi do Julianahaab osiem dni czasu. Gdybyśmy nawet opisy średniowiecznych sprawozdań uważali za przesadne i czasokres, podany przez nich podwoili, to jednak musimy przyjść do wniosku, że wcześnie żeglarze Północy stali znacznie wyżej od żeglarzy morza Śródziemnego starożytności. To pewne, że Wikingowie znali sztukę „krzyżowania”, t. j. posuwania się w linii zygzakowatej, która pozwalała przeciwnemu wiatrowi przez zmianę kursu z lewego na prawy i odwrotnie cofać okręt nieco do boku i zmniejsza dzięki odpowiednim ruchom steru kąt między dotychczasowym a nowym kursem. Ale nie tylko zewnętrzny wygląd okrętów sprawił, że Wikingowie mogli porwać się na przebieganie oceanu Atlantyckiego. Nie ulega wątpliwości, że ich materiał ludzki stał w porównaniu z innymi narodami znacznie wyżej, jeśli chodzi o wytrzymałość, trzeźwość, karność i zamięłowanie czystości. Co więcej, okręt był dla żeglarzy Północy tem, czem koń dla Hunów i Tatarów, którzy podbili cały Wschód Europy z początkiem średniowiecza. I jeśli odkrycie Ameryki przez Wikingów około 1000 r. poszło w zapomnienie, to wina leży w ciągłych walkach rodowych i typowych „zajadach”, których terenem były ich osady na Labradorze i Grenlandji. I zapewne jakaś wojna domowa, a nie napad Eskimosów był powodem, że ta pierwsza, zakrojona na wielką skalę i trwająca 400 lat, próba osiedlenia się w Ameryce, dobiegła kresu. W 1410 r. wrócił ostatni statek Wikingów z Grenlandji do Norwegii, pozostawiając na pastwę losu tę kwitnącą kolonję z jej czterdziestu kościołami, katedrą, licznymi klasztorami i setkami zagrod-ektopskich, a już w 1585 r. kiedy Davis opłynął Grenlandję, nie znalazł na niej śladów białego człowieka. Zniknął czworokątny żagiel i głowa-smoka na statekach Wikingów, a miejsce ich zajęły z powrotem prymitywne kajaki Eskimosów.



Najszybszym parowcem śrubowym w połowie XIX wieku był angielski „Great Eastern”

stąpienie wiosł na okrętach przez żagle, dany im jednak w ręce środki, którymi nie rozporządzali ich przedsiębiorczy przodkowie. I chociaż wielkość okrętów nie zmieniła się, zmieniły się warunki pracy załogi wskutek stworzenia nowego oblinowania żagli i możności zabierania na statki większego ładunku. Z chwilą odkrycia Azorów i Wysp Zielonego Przylądka, dokładnego ich zbadania oraz dotarcia do Przylądka Dobrej Nadziei przez Bartolomeja Diaza w 1488 r., droga do Indji stała otworem. W jedenaście lat później zawinęły do portu w Kalkucie pierwsze 250—400 tonnowe okręty portugalskie pod wodzą Vasco da Gamy. Rozpoczęła się era wielkich odkryć geograficznych, której następstwem było opanowanie Atlantyku i drugiej półkuli przez białego człowieka.

Mówiąc o odkryciach geograficznych i zdobyciu Atlantyku, musi się na pierwszym miejscu wymienić Kolumba, albowiem okoliczności, w jakich odbyła się jego wyprawa, są naprawdę niezwykle. W czasach, kiedy już nikt z ludzi wykształconych w Europie nie wierzył, że ziemia jest płaska, kiedy panujący i warstwy oświecone były rzeczoną „naustawione” na geografję i każdy człowiek idei mógł liczyć na chętnych i pojętych słuchaczy, w czasach, kiedy kupiectwo nie skąpiło kredytów na przedsięwzięcia ryzykowne, ale wróżące dobre zyski — przychodzi do skutku najdonioślejsza wyprawa odkrywcza, wyposażona w śmiesznie małe środki. Wydaje się dziś rzeczą niezrozumiałą, dlaczego Vasco da Gama wybrał się do Indji na czterech nowych, specjalnie w tym celu wybudowanych okrętach, dlaczego Magalhaes otrzymał kredyty w pożądanej wysokości u jednej z najpoważniejszych firm Antwerpii, a Kolumb z niestępnym trudem wyekwipował na swoją wyprawę trzy małe

stateczki, z których największa „Santa Maria” miała 40 metrów długości, 8 szerokości, sto tonn pojemności i liczyła wszystkiego 52 ludzi załogi. Nie można jednak zapominać, że zarówno Vasco da Gama, jak Magalhaes i inni odkrywcy byli doświadczonymi żeglarzami, którzy wiedzieli, do czego dąży i co mogą obiecywać swoim armatorom; natomiast Kolumb wspominał o milionach, w które nikt nie wierzył i sam nie będąc fachowcem, wymagał zaufania, którym się nie cieszył. I prawdę mówiąc, współcześni mieli rację z swego punktu widzenia, gdy zarówno Vasco da Gama, jak Magalhaes znieśli to, czego szukali, podczas gdy Kolumb wrócił, przebąkując niewyraźnie o istnieniu nowego kontynentu, który, na nieszczęście, nie budził naówczas, żadnego zainteresowania.

Nie ulega wątpliwości że znaczenie odkrycia Kolumba wzrosło jednak już w następnych dziesiątkach lat i umożliwiło Hiszpanom mocarstwowe rozbudowanie państwa, a w narodach sąsiednich obudziło zazdrość i chęć szukania szczęścia na drugiej półkuli. Dopiero jednak po klęsce Wielkiej Armady, Anglija i Stany Holenderskie mogły przystąpić do walki o Atlantyk przez stworzenie właściwej marynarki wojennej, przeznaczonej do obrony statków handlowych. Floty handlowe rosły też z każdym dziesiątkiem lat i w końcu ilościowo zaczęły górować nad flotami, złożonymi ze statków wojennych. W siedemnastym i osiemnastym stuleciu wszedł w życie potęg morskich nowy czynnik: szybkość. Straty zależały teraz od kilku godzin, które można było zyskać kosztem dwóch lub trzech nowych żagli. Kto pierwszy przybył z ładunkiem z Ameryki, ten czerpał większe zyski. Dla innych pozostawały resztki. To też całą energję, którą zużytkowywano dawniej na siłę i ciężar kadłubów okrętowych, mających stanowić oparcie dla dział, zmieniano, teraz na to, aby zadziwić świat nowym typem statku handlowego, który służyć miał dwóm celom, punktualności i szybkości. I w ten sposób powstał żaglowiec handlowy z jego zawitym systemem lin i drabinek sznurowych.

Z chwilą, kiedy okazało się, jak wielkiem dobrodziejstwem dla kraju jest możność rozporządzania surowcami, rozpoczęła się rywalizacja między państwami morskimi i Atlantyk stał się widownią krwawych bitew, staczanych między Anglikami, Francuzami, Hiszpanami i Holendrami. Czasami była to walka na śmierć i życie, jak za panowania Napoleona. Jeśli Anglija stała się w końcu panią Atlantyku i innych mórz, to zawdzięcza to z jednej strony fachowym i militarnym zdolnościom swoich marynarzy, z drugiej naukowemu ograniczeniu Wielkiego Korsykanina, który Robertowi Fultonowi, proponującemu zbudowanie pierwszej fregaty, poruszanej parą, odpowiedział dosłownie: „Pańska dymiąca beczka nie będzie miała nigdy praktycznego zastosowania, jako statek wojenny”. A jednak w 1807 r. statek Fultona „Clermont” z maszyną parową, wbudowaną w kadłub amerykańskiego okrętu, odbył pierwszą podróż z Nowego Jorku do Albany, a w krótki czas później popłynął w jego ślady drugi statek parowy „Feniks”. Mimo wszystko niechęć do poruszania się zapomocą pary utrzymywała się jeszcze przez czas dłuższy i dopiero w 1827 r. przebył Atlantyk pierwszy statek parowy „Curaçao”. Fachowcy z kół marynarzy byli równie przeciwni wprowadzeniu parowców, jak i kapitanowie i właściciele statków żaglowych, robiący dobre interesy. Kiedy do tego kilku szalonych inżynierów ogłosiło, że można okręty budować z żelaza, przyjęto wiadomość że ze śmiechem. Mimo to jednak już w dziesięć lat później spuszczone na wodę pierwszy parowiec żelazny „Aaron Marby”, który udowodnił, że żelazo pływać może nie gorzej, niż drzewo.

Już w pierwszej połowie ubiegłego stule-

Dobre trawienie - warunkiem dobrego humoru!

Dobry humor, to dobre samopoczucie, to poczucie zdrowia całego organizmu. Trzeba więc dbać o zdrowie i siłę żołądka. Nie wolno niszczyć organów trawienia obstrukcją! Żołądek, kieszka muszą działać sprawnie. Jest to jeden z warunków zdrowia. Uciecie więc żołądek punktualnego trawienia i wypróżnienia się. Gdy żołądek nie trawi i zostawia w kieszkach niestrawny balast, do organizmu dostaje się szereg trucizm, wywołując w nim szereg nie-domagów. — Ziola magistra Wolskiego do uregulowania trawienia ze znakiem ochr.

„GASTROSA“ norma-
ją działanie żołąd-
ka i kieszek, usuwa-
ją obstrukcję, łago-
dnie przeczyszczając.
Jako środki po-
chodzenia natural-
nego działają ziola
magistra Wolskiego
łagodnie, nie mają
przykrego smaku i
są łatwe do przyrzą-
dzenia.



Wytwórnia:

MAGISTER WOLSKI
WARSZAWA ŻŁOTA 14.

cia, wobec silnego rozwoju stosunków han-
dlowych i wzajemnej konkurencji, dążenia
wszystkich armatorów szły w kierunku zbu-
dowania szybkich okrętów o wielkich moż-
liwościach ładunkowych. I zbudowano kli-
pery, które w krótkim czasie opanowały
Atlantyk, rozwijając szybkość przeciętną do
osiemnastu węzłów i więcej. Amerykański
„Sovereign of the Seas“ z 1857 roku ucho-
dził przez pewien czas za niedościgniony,
dopóki zazdrośna Anglja nie zbudowała kli-
perów jeszcze szybszych i mogących się po-
szczycić jeszcze piękniejszymi rekordami.

Zbudowanie „Great Eastern“ przez Isam-
barda Kingdona Brunela było w tej dzie-
dzinie wydarzeniem prawie epokowym. Ten
kolos morski, który panował nad Atlanty-
kiem prawie przez czterdzieści lat, zdawał
się być ostatnim wyrazem techniki; a jed-

nak, rzecz ciekawa, właściciele jego ponosili
same klęski finansowe. Przyczyną tego był
ogrom statku. Nigdy nie znalazło się tyle
towaru, aby zapłacić przeznaczone dla nie-
go komory, nigdy nie było tylu pasażerów,
aby przejazd ich dostatecznie się opłacał.
Jakież dziwnem wydaje się to dziś, kiedy
statków, wielkości „Great Eastern“, istnieją
całe tuziny, które umożliwiają wygodną
i bezpieczną podróż z Europy do Ameryki
tysiącom ludzi. Żaden z tych olbrzymów nie
jest jednak i dziś rentownym przedsięwzię-
ciem. Mają one raczej znaczenie presti-
żowe i dowodzą ostatecznego zwycięstwa
człowieka nad oceanem.

Nie minęło jeszcze sto lat od czasu prze-
jazdu pierwszego parowca przez Atlantyk,
a już samolot, pilotowany przez Lindbergha,
przeleciał z Ameryki do Europy. Wyprze-
dził go zaledwie o kilka lat przelot do Ame-
ryki balonu Zeppelina, który rozwiązał
w praktyce problem poruszania się w powie-
trzu na aparatach od niego lżejszych. Po-
rowiec, który wyparł zupełnie statek żagło-
wy i objął w posiadanie ocean, znalazł ry-
wala, który łatwo może mu odebrać pano-
wanie nad morzami, tak, jak autobus za-
grywa już w wielu krajach egzystencję wo-
zów, poruszających się na szynach. Narazie
wielu ludziom wydaje się to nieprawdopodob-
nem. Człowiek opanował morze i okrzyk
kulę ziemską na okrętach. Pojęcie oceanu
i okrętu były dla nas dotąd czemś nieroz-
łącznem. A jednak trzeba się liczyć z tem,
że okręty zostaną wyparte przez statki po-
wietrzne. Jeszcze niedawno przelot Lind-
bergha nad Atlantykem wydawał się współ-
czesnym niesłychanym triumfem, a dziś licz-
ba aeroplanów, które przebyły tę przestrzeń,
jest już tak duża, że nazwiska lotników,
idących w jego ślady, nie budzą nawet za-
interesowania.

Klipery zarabiałły dużo pieniędzy, kiedy
żadni złota awanturnicy jeździli szukać
szczęścia z Nowego Jorku do Kalifornji wo-
kół Przylądka Horn. Podróż trwała wówczas
cztery miesiące. Dziś istnieje regularna ko-
munikacja lotnicza między Nowym Jorkiem
i Los Angeles, a przelot trwa tylko godzin
osiemnaście. Zapewne przyjdzie czas, kiedy
przez Atlantyk podróżować się będzie tylko
aeroplanem, a wtedy skończy się panowanie
okrętów na morzu. Statki będą odgrywać
jeszcze pewien czas rolę narzędzi wojny, ale
że narzędzia te nie przyniosą rozstrzygnię-
cia, dowodzi przykład ostatniej wojny abi-
syńskiej, w której Włosi osiągnęli zwycię-
stwo wbrew całej angielskiej flocie. Odgry-
wać będą również pewną rolę przy przewo-
żeniu towarów. Wielkie okręty naszych cza-
sów podzielić jednak muszą los „Great Ea-
stern“, a walki o zdobycie Błękitnej Wstęgi
Atlantyku należeć będą do przeszłości.

Skończy się żegluga przez Atlantyk w wiel-
kim stylu, jaka dziś istnieje. Cieśnina Ma-
gellana opustoszeje, jak ongiś przed jej od-
kryciem. Miasta, jak Kapstadt, które roz-
wój zawdzięcza swemu położeniu na dro-
dze do Indyj, zmieniają się w małe osady, a
ich porty upodobią się do portów staroży-
tnego Rzymu. Brzmi to może trochę grole-
skowo, ale przykład Konstantynopola i Pe-
tersburga, których porty po wielkiej wojnie
zamarły, daje dużo do myślenia, gdyż ko-
munikacja lotnicza wymagać będzie innych
punktów oparcia. I w ten sposób skończy
się jeden z najbardziej interesujących eks-
perymentów ludzkości, próba zbliżenia na
równi w drodze komunikacji okrętowej,
która dziś stoi u szczytu.

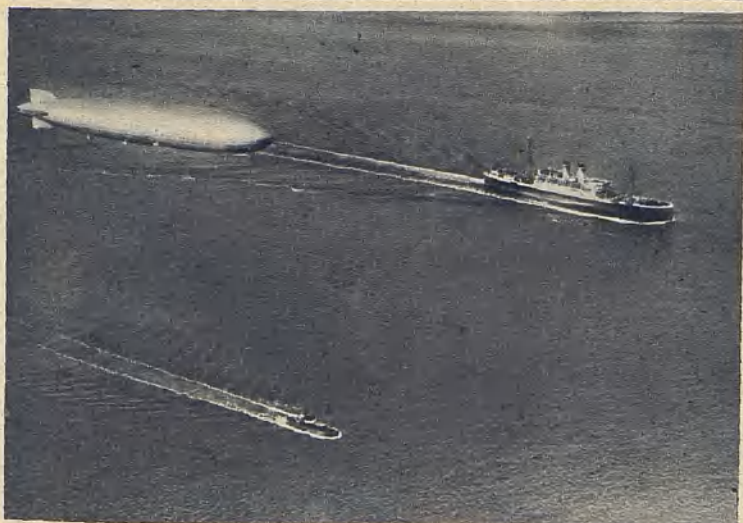
Ludziom jutra przyświecać mogą te same
cele; ale dobór środków do ich urzeczywi-
stnienia będzie napewno inny. Dziś zdaje się
nie ulegać wątpliwości, że opanowanie cza-
su i przestrzeni uważać będą przyszłe po-
kolenia za przywilej każdego przeciętnego
człowieka. Przez siedem tysięcy lat ludzkość
kusiła się o opanowanie mórz i dziś władza
niem bezspornie. Ale panowanie na oceanach
nie jest równoznaczne ze zdobyciem prze-
strzeni; stanowi tylko wypełnienie części za-
dania. Odkrycia geograficzne dobiegają kre-
su, kończy się również udział w nich okrę-
tów, które wkrótce uważać będziemy za
przeżytek. Ocean Atlantycki, który stanowił
w ciągu wieków przestrzeń niezbadaną i ta-
jemniczą, nie może już dzielić półkul ziem-
skich, połączonych licznymi kablami i li-
niami lotniczymi. Przyszłość okaże, czy usu-
nięcie tej wielkiej wodnej przeszkody na
drodze zbliżenia narodów zapewni następ-
nym pokoleniom upragniony dobrobyt, czy
też stanie się przyczyną nowych walk, pro-
wadzonych środkami, przed którymi nikt
już uciec nie potrafi.

W. R.

W k o t e : Pierwszy człowiek, który samotnie
przebył na samolocie Atlantyk, pułk. Karol
Lindbergh.



Ponizej (d lewej): „Zeppelin“ oraz parowiec linii Hapag „New York“ spotykają się
na drodze między Europą a Ameryką. — Potężny polski transatlantyk M-S „Batory“
na tle gigantów nowojorskich.





Ola Obarska.
Fot. Forbert - Warszawa.



Maria Gorczyńska.
Fot. Bil - Warszawa.



Antoni Fertner.
Fot. St. Brzozowski - Warszawa.



Jerzy Leszczyński.
Fot. St. Brzozowski - Warszawa.



Maria Malicka i Zbyszko
Sawan. Forbert, Warszawa.

Wszystko spełniwy bardzo
rozsądnie. Wychodzący
do St. Moritz, spadni-
wy na Płocznę, wie-
nowy wychodzący na
siłki, parę trupów
..... ale to, to
"młode wół"
No, kłopot, przecież prze-
ciwko światu grający po-
dobny do siebie
Z tych lii wysiwnych
St. Moritz, pnie dany
Płocznę i Płocznę, tak
sukcesywnie i nie pnie.
Maria Malicka i Zbyszko

Z daleka Bełna
Zdruć na Gierdę Angusta
rysy i wielkiej reży-
"Cala" sk gniardłone
iznawia Ola Obarska

Spędzam s'iątę a uaj-
dziej mi intety co kwi-
ce, a mojej matki
ajaz angostim cypel-
nikom "Ada" no'nie
mitych st'ia.

Maria Gorczyńska

Kapisać co' wa-
sotego pnie instawu-
nyklucione. -
More po im'istoch
jeducemu na dancip
dziata ser, drugiem
musitonska, a miue
onechy wie more
po s'm'sach
Antoni Fertner

Wszystko, co
kiedyś nadawano
spokoj. Właśnie
dla tego dnia
tam grać przez
Cale S'iętę.
S'iętę Ci,
to spokojnie będą
mogli papić!



Marjusz
Maszyński.
Fot. Jan Rych-
ter - Kraków.

Posłuchajcie, kochani
nieka na S'iętę, to
niepodobać: to do
ma się ad'it pnie
pnie, a to dla uniknięcia
awenturalnych pnie
fry gnie u Karły.
S'iętę, S'iętę
a pnie, S'iętę
S'iętę, S'iętę



Mira Zimińska.
Fot. St. Brzozowski, Warszawa.



W kole:
Jan Kurnokowicz.

Król pnie dojeżdż-
włec tego pnie
Cypelnicom
pnie Ad!
Jan Kurnokowicz

Jako Kłowa Mada-
gaskar (maja ostetia
nla) - ofiarowuje na
Gniardę swemu ludowi
upragnione kolacje:
Madagaskar.

Obok, na pra-
wo: Elżbieta
Barszczewska.
Fot. Van Dyck -
Warszawa.



Życzenia gwiazd polskiej sceny

Duo - duo radość
uśmiechom Cypelnicom
pnie
Elżbieta Barszczewska

Mitemu Asowi
zdradkam tajemnicę:
moja tegocenna
Gniardka b'kie
pierwoc, moja
Gniardka jako
mziatki. W'iętę
mziatkom z'ęre
tyle z'ęre ile
sama pnie.
Imejna Szczępanka



W kole: Lucyna
Szczępanka.
Fot. Forbert - War-
szawa.



Na prawo:
Władysław
Grabowski.
Fot. St. Brzo-
zowski -
Warszawa.

W tych miłych czo-
gdy mziatka mziatka
z'ęre mziatka - a z'ęre
pnie po r'ęde, ce-
gier f'ęre z'ęre?
Humor!

W. Grabowski





Gdzież szukać dzisiaj weselszego nastroju, jak nie w... niebie, w którym, choć panuje wieczne bezrobocie, nikt nie zbiera podatków na „Pomoc zimową”.

Bezrobotnego najtrudniej zastać w domu, bo zmęczony szukaniem posady, odpoczywa najczęściej w knajpce. Przypadkiem dowie-



Smoking dla p. Stasi...

działem się, że aniołek-referent od podarunków gwiazdkowych nie udał się jeszcze do baru niebieskiego; udzieli więc napewno krótkiego wywiadu...

Wprowadzono mnie do olbrzymiej, jak przed spalaniem Crystal Palace, sali, zastawionej mnóstwem najrozmaitszych przedmiotów. — Witam — zawołał gospodarz, stojący na najwyższym szczyblu ogromnej drabiny i czempredzej spłynął lotem szybowym na wspaniały fotel.

— Ten fotel, to wprowadzić tylko model próbny — usprawiedliwiał się — dla innych dwunastu, przygotowanych na gwiazdkę dla ministrów, aby mogli w nich drzemać spokojnie w ciągu przyszłego roku. Do jednego z nich będzie przymocowany automatyczny budzik, nastawiony stałe na godzinę ósmą.

— Zupełnie słusznie — przytaknąłem — a właśnie celem mej nagłej, a niespodziewanej wizyty jest...

— Ależ wiem doskonale, jak i to, że każdy redaktor jest ciekawy, a ciekawość, to pierwszy stopień do...

— Tak jest, do wiedzy — proszę mi tylko powiedzieć, czy to wszystko jest dla Polaków przygotowane?

— To wy tam macie ładne wymagania nad Wisłą! Może kolonij się wam zachciewa? — zirykował się.

Gniew piękności szkodzi: wobec tego Aniołek, ujrawszy swe oblicze w lustrze, wier-nem, jak miłość Edwarda do pani Simpson, zmitygował swę oburzenie. Rozpoczęliśmy rozmowę swobodniejszą.

— Cóż to za napój w tym syfonie? — zdi-wiłem się, dotykając olbrzymiej bani.

— To jest tylko skroplone, świeże po-wietrze według najnowszego wynalazku, spe-cjalnie skondensowane, aby nim można by-

ło oczyścić atmosferę we wszystkich urzę-dach skarbowych!

— Wreszcie będzie miał minister skarbu spokój — a jest co dla pana Becka?

— Ma się rozumieć! Jak tylko otworzy tą tajemniczą skrzynkę, ujrzy jak na dłoni wszystkie Kohn-Schachty dyplomatyczne...

— Tak, tak! już czuć zdaleka gdańską oliwę...

— A dla zastępcy Russela na Polskę?

— Oto proszę: automatyczna powielarka: czekam tylko, aż wasz akademik zmieni na-zwisko na Zrzynałkowski!

— Co widzę! — dwie zaklejone koperty — pewnie najmiłszy z upominków: forsa — co?

— Nie, to tylko bezpłatne bilety dla re-dakcji „Podpłomyka” na wycieczkę krajo-znawczą do Sowieców.

— O! jest i kołyska z wmontowanym gra-mofonem...

— Dla Kiepurów!

— A „Marcyna” co dostanie?

— Lo Marcysi — pedział janiol — Pon-bóg kazał przyrządzić nanowoszm łonto-grafijom łód pona Nicia.

— Jakie ładne parasole — rzuciłem luźną uwagę.

— Co za parasole!... — to specjalne spa-dochrony dla pasażerów kolejki linowej...

— A na co ta kuchenka gazowa?

— Będzie służyć jako odgrzewaczka dowci-pów dla „Wesołej Syreny”, a mam i trochę pieprzu dla wróbelków, co siedzą na dachul

— Rakietę dostanie pewnie Jędrzejowska?

— Nie, dla Jadzi mam ten kubek — Wiel-ką Honorową Nagrodę Sportową. Rakietę tenisową, to podarek dla... Krzywoszewskie-go, a hulaj-noga dla... prof. Piaseckiego, aby choć na starość mogli zażywać rozkoszy sportu.

— A co z tym smokingiem?

— Przecież to strój wieczorowy dla naszej polskiej lekko-atletki panny Stasi W.

Wędrowaliśmy tak długo po olbrzymiej sa-li... w pewnej chwili zdziwiłem się niezmiernie, widząc czarny żałobny medal. Po kilku: hm-hm, dowiedziałem się, że może go dostać tylko nasz Komitet Olimpijski.

— Czy ciekaw jesteś działu zagranicznego? — zagadnął mnie już poufale Aniołek.

— Ma się rozumieć: tylko powiedz mi je-



W tej kołysce dziecko zasypia „śpiewając”!

szcze, czy nie zapomniałeś w swej szczodro-ści o prezencie dla Pary... lewiczowej!

— Wprost przeciwnie: oto wyrok, mianu-jący ją referentką personalną w... piekle!

Zaraz w pobliżu poukładano praktyczne podarunki dla Hitlerowców, między którymi zauważyłem kilka „miniaturowych” krązo-



Syfon z skondensowanym powietrzem oczyszczają atmosferę.

wników po... 40.000 tonn, oraz wspaniałe elui z napisem: „Führerowi”. Otwarłem je bez pytania: było puste!

— Z tem mieliśmy największy kłopot—mó-wił Aniołek — nie wystarczyło czasu na przygotowanie cesarskiej korony; będzie musiał biedny czekać aż do przyszłej gwiazdki. Zato Francja dostanie kilka nowych ga-binetów... figur woskowych, zabarwionych na czerwono — ale któryś z nich wreszcie zbieleje ze strachu, gdy...

— O! proszę tylko tego nie mówić w złą godzinę, która właśnie bije dla rządu ludo-wego w Hiszpanji...

— Zaręczam, że się tam ta awantura pręd-ko zakończy, bo już mam tu kilka „fajek pokoju”...

— Do czego służy ten miech?

— Przyda się Japończykom do podsycania ognia pod chińskim imbrykiem...

— A wujcio Sam i ciocia Samica?

— Tym razem nic nadzwyczajnego: mo-stek z Miami do Hawany; tunelik z Chicago do Hollywood i tem podobne drobiazgi.

Tymczasem nadszedł Wieczór Wigilijny... Wśród słów pożegnania zdążyłem zadać Aniołkowi dwa ostatnie pytania:

— Co przyniesiesz Czytelnikowi „Asa”?

— Podwyżkę pensji od Nowego Roku!

— A mnie?

— Ostrzejsze pióro!





Polska choinka ozdobiona polską ręką.

Tak rozpowszechniona dziś w Polsce choinka, ozdobiona cackami różnokolorowymi w dzień wigilijny przyszła do nas z Niemiec w połowie XVIII w. i zaaklimatyzowała się szybko w naszych zwyczajach i obrzędach w okresie świąt Bożego Narodzenia.

Zwyczaj ten nie przedostał się jednak do Francji i Włoch, w Rosji sowieckiej był nawet zakazany i zmieniony w późniejszym okresie na noworoczną choinkę dla biednych dzieci, których tam miliony.

Nie mamy nic przeciwko wprowadzeniu do naszych zwyczajów choinki, aczkolwiek leśnicy nasi mogliby w tej sprawie wiele smutnego powiedzieć.

Natomiast obowiązkiem naszym jest zwrócić uwagę, iż z tym zwyczajem niemieckim wszedł do Polski niemiecki i czeski towar. W Niemczech istnieje mnóstwo fabryk wyrobów papierowych ozdób choinkowych, zaś w Czechach rozwinął się przemysł szklany, eksportujący na cały świat znane, szklane kolorowe kulki i paciorki.

Niemieckie wyroby, sporządzane w milionach szablonowych postaci aniołków i świętej Rodziny, znane są w każdym domu polskim, jak i również szklane czeskie choinkowe ozdoby, które powodują często w radosnym dniu świątecznym skałeczenia rącek naszych najukochańszych. Panie polskie już od dawna zrozumiały, że należy przeciwdziałać zalewającej nas szpetocie obcej, za którą płacimy miliony złotych i przeciwstawić ozdoby choinkowe wykonane w naszym zdominowanym charakterze, zrobione rękami polskiego rzemieślnika lub dzieci. Wysiłki w tym kierunku dają nierównie rezultaty. Okazuje się, iż najtrudniejszą sprawą jest w tej dziedzinie dobry smak i pomysłowość.

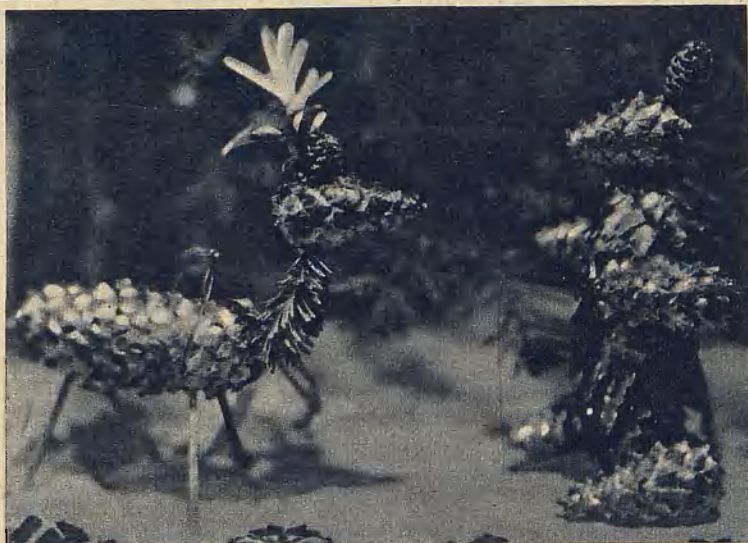
Krakowskie Towarzystwo popierania burs dla dziewcząt z pp. dyr Koperową i Dobrowolską na czele wystąpiło w tym roku do walki z obcą tandetą choinkową w sposób zorganizowany handlowo i artystycznie. Przy ul. Florjańskiej w domu Matejki otwarto w okresie świątecznym wystawę i sprzedaż



Oryginalne są zwierzęta-zabawki z gufrowanej bibułki, kompozycji p. J. Giustiniani.

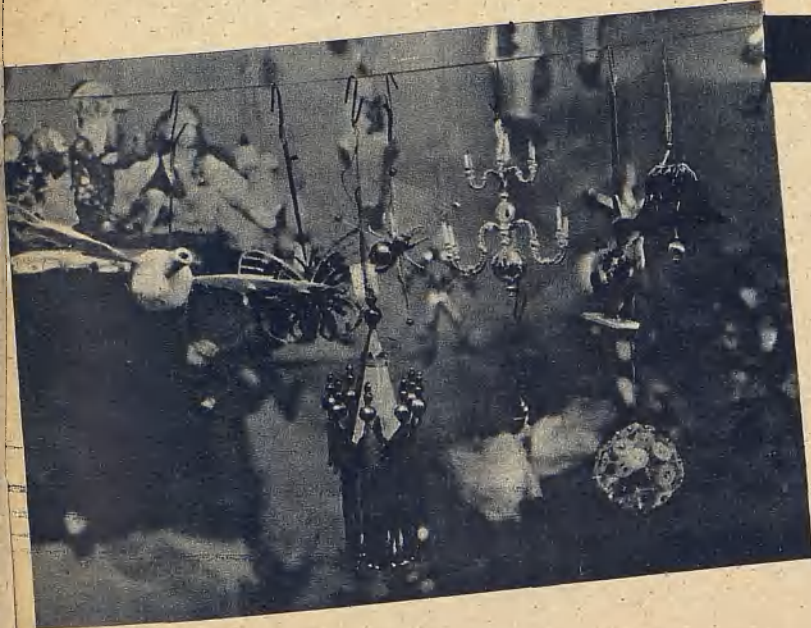


Oto stylizowany „pegaz”, jedna z piękniejszych zabawek na wystawie w domu Matejki w Krakowie.



Powyżej: Egzotyczne zwierzątka, zrobione z szyszek, pomysłu p. J. Giustiniani.

Poniżej: Różne choinkowe ozdoby z papieru, szkła paciorków itd. odznaczają się oryginalnością i polskim charakterem.



przepięknych cacek choinkowych, wykonanych rękami polskich dzieci pod kierownictwem nauczycielek. Na wystawie znajdują się nader bogate sortymenty choinkowych cacek, wykonanych niezwykle pomysłowo. — Prym wiodą zwierzęta egzotyczne, wykonane z gufrowanej bibułki przez p. J. Giustiniani. Zwierzęta te świetne w charakterystyce i ruchu, nie ustępują

ne są na wystawie krakowskiej. A więc Podlasie dało hieratyczne tkaniny, Maków swą poezję hafciarską, Kaszuby bogactwo drobnej ceramiki, a Jaworów i Rabka swe tradycyjne zabawkarstwo, tak stare w swych wzorach, a jednak tak mile widziane przez nasze dzieci.

Powstanie tej wzorowej placówki artystycznej jest doprawdy pięknym obywatelskim czynem, przyczyniającym się nie tylko do szerzenia polskiego piękna, ale też do walki z zalewającą nas od dziesiętności lat tandetą, która opanowała nasz rynek zabawkarski.

Kupujmy jedynie choinkowe ozdoby, stworzone przez ręce polskie! Usuńmy w kącie niebezpieczne szklane czeskie i niemieckie brzdactwa!

mdm.

LIRT

— Niech pan sobie zbyt wiele nie wma-
wia. Powiedziałam — miły. „Miły” to zna-
czy dużo, a właściwie... nie.

— Paradoxs. Brawo, panno Bronko!

— Skąd pan wie, że się tak nazywam?
Zainteresowanie! Pochlebia mi to.

— Siedziałem w ogrodzie, gdy zobaczyłem
panią po raz pierwszy. Szła pani koło płotu
i nagle odwróciła pani głowę w moją stronę.
Przez ułamek sekundy. I to wystarczyło, aby
przez długi czas nie móc zapomnieć pani
oczu. I czy pojmie pani rzecz śmieszna: nie
zależało mi na pani nic, nie myślałem nawet
o tym, by pójść, przemówić, poznać panią,
a jednak... byłem zazdrosny. Prostu wście-
kły, że jakiś inny mężczyzna podejdzie do
pani, będzie się mógł przypatrywać jej po-
ruszeniom, oczom, będzie miał możliwość słu-
chania pani słów.

— Czy można wiedzieć, co pan wtedy ro-
bił, gdy przeszedłem?

— Ależ tak! Siedziałem chwilę i starałem
się wywołać w imaginacji pani obraz, wi-
dziany tylko tak krótko. Jednak nie udało
się. Wyczuwałem go raczej podświadomie
i nie potrafiłem go nawet naszkicować w my-
ślach. Dorabiałem fantazją, i otrzymałem
portret inny. Zaczęłam gwizdać...

— To świadczy o wzburzeniu.

— Przypuśćmy.

— A potem?

— Hm, potem... Poszedłem do kuchni po
nóż. Tylko bez przerażenia! I powróciłem
z nożem do ogrodu.

— Jak pan to dramatycznie opowiada. Li-
terackie stopniowanie, gra na nerwach słu-
chacza.

— Dziękuję za uznanie.

— Proszę dalej, jestem szalenie zainte-
rowana.

— Niebo było niebieskie, ani jednej
chmurki, wiatr ruszał liśćmi warzyw na
grządkach, kogut piał, słońce świeciło po-
przez sztachety płotu i rzucało na trawnik
podłużne smugi...

— Pan jest niemożliwy.

— Przepraszam stokrotnie.

— — — — —

— Niech pani jeszcze raz wystawi język.

— Właśnie że nie chcę.

— A gdybym prosił?

— To dopiero nie!

— Może przejdziemy na ścieżkę. Na go-
ścińcu taki kurz...

— Zgadza się, jeśli pan wreszcie opo-
wie, co było z tym nożem?

— Otóż... Opis ogrodu już był?

— Był.

— Idę więc z nożem...

— Słyszeliśmy.

— Plurale maiestaticum?

— Ah.

— Nóż błyszczy w słońcu złowrogo. Zbli-
zam się do grządki i... odrzynam kalarepę.
Ogromnie lubię jeść surową młodą kala-
repę; — skosztowała pani kiedy?

— Pan jest potwornie beczelny. I co da-
lej?

— Odcinałem liście, siadłem w wygodnym
fotelu trzcinowym — widziała go pani
w ogrodzie, czerwono lakierowany?

— Niestety nie zwróciłam uwagi

— Więc usiadłem i... jadłem kalarepę. Cóż
pani na to?

— Wstrętny cynizm.

— Nie, panno Bronko. To było — robie-
nie sobie nazłość. Tłumienie w sobie zapo-
mącą środków groteskowych rzeczy, których
się boję. Nie chcę się zapoznać z ludźmi,
gdyż przywiązuję się do nich zbyt łatwo
i zbyt silnie. Idę za głęboko, jak powiada
Schopenhauer, i to jest mój błąd.

— Patrzy pan teraz badawczo, z pewnem
niezdecydowaniem, obawą... Otóż powiem
panu, iż wiem, że Schopenhauer nie był ani
malarzem, ani bokserem, ani wynalazcą ro-
wern, lecz filozofem niemieckim. Zadowo-
lony pan?

— Zachwycony. Żałuję już — że jadłem
wtedy w ogrodzie kalarepę.

— Tak wartościowego komplementu ni-
gdy jeszcze nie słyszałam!

— Tembardziej, że to nie był komple-
ment. Jestem impertynencko szczery. Mówię
to, co myślę...

— Zauważyłam to, panie... no, jak panu
na imię...

— Kalasanty.

— Bez żartów. Bo będę panu naprawdę
tak mówić.

— Proszę bardzo.

— Nie, wie pan, to jest niemożliwe... „pa-
nie Kalasanty”... Brr... nie potrafiłabym tak
pana nazywać... to jest tak... sprzeczne
z panem, tak... głupie...

— Pani się denerwuje.

— Tittak. Bo pan jest... wstrętny... paskud-
ny... potworny...

— Czy dalszy ciąg nastąpi?

— Nie.

— To szkoda.

— Wielka. Niech mi pan przyniesie ten
kwiat, tam, koło tego pnia...

— Nie.

— Zdumiewająca uprzejmość!

— Nie uznaję zasad towarzyskich.

— Ale jeśli proszę, może mi go pan prze-
ciż przynieść.

— Nie.

— W takim razie gniewamy się.

— Doskonale. Gniewamy się.

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— Pan jest paradny!

— Dlaczego...?

— Dlaczego? Już chociażby przez to zdu-
mienie, z jakim pan pyta. Usiadł pan na
trawie i o nic się nie troszcząc, zostawia
mnie pan na tem pustkowiu i zmusza mnie
pan, abym pierwsza przemówiła.

— Może pani przecież iść do domu.

— Sama taki kawał? Zresztą nie mam
ochoty odejść od pana, bo... pana lubię.

— To niech pani siądzie tu obok.

— Niezły pomysł.

— Bliżej.

— Nie.

— Nie?

— Nie. Ale wolno panu podać mi rękę. Lu-
bię patrzeć na pana ręce. Jest w nich bardzo
dużo wyrazu.

— Śliczny obraz Bronka...

— Co za „Bronka”? Kto panu pozwolił
opuścić słowo „panna”?

— Mówię bez zastanowienia tak, jak mi
się podoba.

— Słucham.

— Gdy byłem małym chłopcem, malowa-
łem całymi godzinami, upływały mi na tem
tygodnie, miesiące, pełne jesiennego de-
szczu. Potem przestałem. Stałem się bardziej
krytyczny, nie zadawałoby mnie to, co
tworzyłem. Ale czy uwierzy pani, pozostałem
malarzem. Malarzem, który nie maluje.
Komponuję obrazy w myślach, dobieram
kolory, lecz nie mam siły na odtworzenie
ich realnym rysunkiem. Gdybym potrafił...

— To co?

— Namalowałam tę polanę oświetloną do
połowy słońcem, ten las zanurzony wierz-
chołkami w niebie. Na trawie leży kobieta
taka, jak pani. Co za kontrast, jaka walka
dwóch elementów: ciszy i krzyku. Na tle dzi-
kiego krajobrazu — kultura. Na tle siena-
ki — niepokój.

— Niepokój? W czym?

— W pani oczach, w każdym poruszeniu,
pełno tu ruchu, niespodzianki. Nie wyobra-
zam sobie pani śpiącej.

— Będę leżeć całkiem spokojnie. Mam
przymknąć oczy? Będę słuchać, jak pan mó-
wi. Może pan trzymać moją rękę, żebym od-
czuła, że pan jest naprawdę tu obok, bo ina-
czej mogłoby mi się zdawać, że to tylko...
głosnik radiowy. Nie, tego nie chciałam...
aby pan całował rękę. To właśnie nie całowa-
nie lecz — dotyk. Dobrze mi tak z przym-
kniętymi oczami. Co pan teraz robi? Zda-
wało mi się, że się pan śmieje. Niech mi
pan coś opowie o sobie...

— Boję się rozmów.

— Rozmów?

— Tak, boję się rozmów. Mam dziwną
pamięć: wiersze i daty zapominam, ale to,
co mówię do kogoś, i co do mnie ktoś mówi,
to pozostaje we mnie na zawsze. Całą roz-
mowę prowadzoną z panią, notuję dokładnie,
każdy akcent, każdy gest, jaki im towarzy-
szył. Niema pani pojęcia, jakie to straszne:
przechodzić po latach przez miejsca, gdzie
byłem razem z panią, i nagle... jakby to było
nagrane na płytę gramofonową, słyszę na
nowo całą rozmowę przeszłą, nieaktualną.
Pani już dawno tu nie będzie, a ja przecho-
dząc przez tę łąkę, będę zawsze słyszał te
słowa: „to właściwie nie całowanie, lecz do-
tyk”, będę miał złudzenie, że na pustej tra-
wie widzę kolor pani sukni. Boję się tego.
To jest okropne, wracać zawsze do prze-
szłości. Dlatego unikam ludzi, szczególnie
tych, na których mogłoby mi zależeć.
Dlaczego otwiera pani teraz oczy? Żeby za-
znaczyć... Jaki wspaniały uśmiech. Czy pa-
ni to właściwie milczenie, wyczekiwanie.
Usta zawierają całą kokieteryję, są wyzywa-
jące...

— Wyzywające? Co za ordynarne wyra-
żenie. Wypraszam sobie.

— Ale ja sobie z pani protestów nic nie
robię. Potrafi pani wyrazić ustami ogromnie
dużo: zamyślenie, drwiny, dąsanie się, bog-
tą skalę uśmiechów, od naiwnego począw-
szy, a kończąc na... wyzywającej kokieteryji.
Teraz pani powie, że jestem ordynarny. Pro-
szę. Słucham.

— Podoba mi się pan...

— — — — —

Dokończenie na str. 26-tej.



— Chce mnie pan pocałować?
— Nie.
— Bronka, śmiesz się cudownie!
— Gbur. Nie pozwalam mówić do mnie „ty”

— Obrażony?
— Wie pan, wydaje mi się jakbyśmy się już bardzo, bardzo długo znali... miesiące, lata. A właściwie... według zegarka... jeszcze dwie godziny temu... Niech pan s... rzy, czarne chmury! — będzie burza. Zauważył pan, jak się ochłodziło? — Trzeba będzie w drogę, bo zmokniemy. O, grzmi...

— Czujecie pan? pada — —
— Pada...
— Za chwilę spadnie ulewa.
— O, błyska się. — — Idziemy. Ale szybko.

— Boi się pani?
— Nnnnie. Ale... nie lubię.
— Wspaniały ogień.
— Nono! Bez zachwyków. Chce pan, żeby we mnie uderzyło? Bo ja nie mam najmniejszej ochoty.

— Słyszysz pani, jak szumią potoki? Pobiegniemy w dół... naprzelaj...

— Brrr jak ślisko! Niech mi pan poda rękę, bo upadnę.

— Doskonale pani biegnie.

— Taki deszcz!

— A teraz stop! Ubierz pan moją marynarkę, bo ulewa, a pani w lekkiej sukience.

— Nie chcę.

— Bunt?

— No zresztą...

— Do biegu gotowi — marsz!

— — — — —

— Potoki!

— Potok...

— Nie poto mówię, aby pan najflegmatyczniej pod słońcem powtarzał moje słowa.

Ale trzeba zaradzić: jak tu przejść?!

— Istotnie. Trzeba.

— Dosyć żartów. Ulewa... grzmi... błyskawice... pełno tu wysokich drzew...

— Na dół biec niema sensu. Za daleko.

Tu gdzieś blisko jest buda. W tył zwrot!

— Jaka buda?

— No taki kiosk. Ciastkarnia z lodami i wodą z sokiem malinowym, cytrynowym, pomarańczowym...

— Pan potrafi człowieka doprowadzić do pasji.

— Proszę się rozplakać.

— Nie chcę!

No, to biegnijmy...

— Przemokłam do nitki.

— Oto tam dach. — —

— Nareszcie... Ale błyska...

— Siadźmy tutaj.

— Przy oknie? Zaniel!

— Więc tu, w kącie. Ciemno, przeto efektowniej wypadnie światło błyskawic.

— Straszne... Jakgdyby jakiś ogromny czerwony reflektor naświetlił chmury... Nawet przez powieki przebija czerwień...

— Bronka...

— — — — —

— Ale pan całuje...

— Bronka... jesteś prześlizgna...

— Przymknijmy oczy... Będziemy siedzieć nieruchomo i tylko słyszeć ulewę za oknami. Gdy się nie widzi, wtedy wszystkie szmery tak się wyolbrzymiają...

— — — — —

— O czym pani myśli?

— O tem, że to „dziś” — to jest przygoda.

Tak niewiele, a przecież... przygoda.

— Która minie z deszczem.

— I z każdym deszczem powróci...

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

— — — — —

250-LECIE BILARDU

Wśród powodów różnych jubileuszy, warto wspomnieć o jubileuszu bilardu. Szczególnie w obecnej dobie, gdy niema prawie kawiarni lub restauracji, w których nie było tak zwanego automatycznego bilardu, dzieje jego zaciekawia zapewne szerokie rzesze Czytelników „Asa”.

W roku 1674 wydał Karol Cotton książkę pod tytułem „Doskonały gracz”. W książce tej autor nadmienia, że w niektórych wielkich miastach angielskich znajdują się w gospodach bilardy do użytku publicznego. Bilardy te, jak wspomina Cotton, cieszyły się bardzo wielkiem powodzeniem.

We Francji za panowania Ludwika XIV rozpowszechnił się bardzo zwyczaj grania w bilard a to z tego powodu, że lekarz nadworny nakazał królowi tę grę jako: „niezmiernie kojąco działającą na nerwy”. Zachował się nawet w muzeum w Louvrze drzeworyt z roku 1694, przedstawiający króla, rozgrywającego partję.

W ciągu wieków starano się ciągle udoskonalać stół bilardowy, toteż w 1827 roku skonstruowano bilard z pozytywką. Na stole amieszczone były trzy figury, przedstawiające lwy. Gdy kula zawadziła o którąkolwiek z figur, pozytywka zaczynała grać jakąś popularną podówczas piosenkę. Moda ta jednak nie przyjęła się, gdyż muzyka przeszkadzała graczom.

Pierwsze sale bilardowe otworzono w Paryżu w 1839 roku i od razu zdobyły sobie olbrzymie powodzenie. Poczęto usta-

nawiać rekordy, wymyślano różne dziwactwa i t. p. Dwóch miłośników bilardu postanowiło rozegrać partję, siedząc na koniach! Z wielkimi trudnościami wprowadzono konie do sali bilardowej, lecz wnet konie się spłoszyły i powywracały stoliki! Ale dziwacy dopięli swego, gdyż rozegrali partję! Z czasem zaczęto instalować bilardy również w domach prywatnych. Szczególnie w drugiej połowie 19 wieku prawie nie było we Francji zamożniejszego domu, któryby nie posiadał stołu bilardowego.

Dzisiaj manja bilardowa przeniosła się z domów prywatnych do kawiarni i cukierni. Są bilardy z jednym grzybkim lub z trzema, są inne bez grzybków a za to z miniaturami kregielkami. Widziałem w jednej z kawiarni poznańskich, jak trzech graczy począwszy od 10 rano niezmordowanie grało aż do zamknięcia lokalu do 23! Ogółem przez cały dzień rozegrali 40 partyj, chodziło bowiem o to, kto zdobędzie mistrzostwo! I cóż się okazało? Po pracowicie spędzonym dniu wszyscy gracze mieli równą ilość punktów!

Manja panów stał się bilard automatyczny. Wymykają się więc cichcem z domów zpod oka magnifiki, byle rozegrać choć jedną partyjkę za 20 gr. Wytworzył się już nawet u nas specjalny rodzaj zawodowych graczy bilardowych. Proponują grę po 50 gr. od wygranej partji i lekko zbierają po kilka złotych dziennie.

M. Dunin Borkowski.



Lupież znika
Wypadanie włosów ustaje
Włosy odrastają



przedsiębiorcą samochodowym w kraju i pionierem motoryzacji“.

Terka nie chciał wierzyć oczom. Żona dwa razy gazetę przeczytała. Służąca Frania uśmiechała się do niego.

Terka zaczął doznawać nieznanego uczucia. Otoczyła go cieplejsza atmosfera. Najpierw stróż z kamienicy — później znajomi — wreszcie jacyś tam zupełnie zapomniani ludzie — wypytawali się o Terkę. Kłaniali się też wszyscy na ulicy z uśmiechami życzliwymi. Terka był najpierw zdziwiony i oszołomiony — wreszcie dumny. Częściej teraz spacerował po mieście. Zaczął bywać w kawiarniach, których dawniej nie lubiał i unikał. Odbierał ukłony. Witaił się. Rozpoczynał:

— A jednak wiele się w życiu zrobiło — mój panie...

* * *

Po jakimś czasie Terka spo-

ska i określił go: „Ten pan w binoklach pod oknem“...

Zjadał 2 bułki z masłem, wypijał kawę. Gdy przychodziły „ważne“ daty w kalendarzu pana Terki (imieniny, urodziny, święta i wreszcie rocznica założenia garażu) — siedział dłużej w kawiarni. Pił likier z kawą. Palił najlepsze cygara.

Od nikogo nie odbierał życzeń. Pozostał sam. Frania, służąca, odeszła. W domu Terka miał tylko przychodnią posługaczkę.

* * *

Kiedyś nie dostał na czas gazety. Na chłopca się rozgniewał, ale poczekać musiał. I wtedy rozejrzał się dłużej po kawiarni.

Tego tam ryżego — koło bufetu znał z widzenia. Tego i jeszcze wielu innych. Przychodzili tu jak on codziennie. Ludzie kawiarni — może ludzie bez domu.

— Czy wolne to krzesło — usłyszał naraz Terka miły głos obok.

Machinalnie skinął głową. Młoda dziewczyna usiadła przy sąsiednim stoliku. Otworzyła torebkę — wzięła lusterko, przejrzała się.

Pocóż ona tu przyszła — pomyślał Terka, i obserwował sąsiadkę.

Chłopak przyniósł gazetę. Terka zabrał się do czytania. Przerzucał strony i od czasu do czasu spoglądał na nieznaną. Wreszcie postyszał przywitanie. Odłożył gazetę. Mężczyzna podeszedł do stolika. Usiedli razem. Zagadali się, aż kelner musiał dwa razy zapytać, co podać.

* * *

Długo jeszcze potem Terka myślał o tych młodych. Uświadomił sobie z wolna pustkę, która go otaczała od lat i swoją starość. Z późno było na szukanie przyjaciół. Pozostał w życiu sam. Żyjąc oddawna z renty — daleki od życia, które szło naprzód.

Nadszedł dzień wigilijny. Terka przyszedł jak zwykle do kawiarni o 4-tej. Przeczytał gazety. Po raz pierwszy czuł się tu jakoś nieswojo. Zauważył, że sala pustoszeje bardzo wcześniej. Zaniepokoił się. Minęła 10-ta wieczór i Terka został sam. Nie mógł się jakoś zdecydować pójść do domu, gdzie czekała przygotowana wigilia dla dwu osób.

Postyszał, że kelner stojący za nim, ziewa. Podniósł się i ubrał. Sucho złożył życzenia świąteczne obłudnie i wyszedł na mrozną, pustą ulicę.

Pod domem Terki na progu — pod drzwiami — siedział kundel. Małe białe-czarne „ni to — ni owo“. Terka otworzył bramę. Zatrzymał się. Spojrzał w pustą ulicę i jasne kwadraty okien. Schylił się i pogłaskał psa. Kundel zbliżył się do człowieka — otarł się o jego nogi, pomyrdał ogonem. Terka cmoknął głośno, poczem on i ten drugi weszli do bramy.

— Oto „zamorski gość“, który jeść będzie z drugiego talerza, przy moim stole — wyszeptał Terka, gdy wspinali się po schodach na piętro.

Bardzo zdziwiono się w kawiarni, że — „ten w binoklach pod oknem“ nie przychodzi. Pomyślano, że chory — a po miesiącach sądzono, że umarł. I żalowano nawet Terki...

J. M. Brzeski.



strzegł, że już wszystko o sobie ludziom opowiedział, że nie ma dla nich nic nowego... Częściej siadywał sam. Ludzie, z którymi łączyła go tylko jego krótka sława i przełotna znajomość — zapominali o nim. Poczuli się opuszczonym.

Jakoś — w rok po artykuły w gazecie, umarła żona Terki. Został sam w pustym, dużym mieszkaniu. Miał córkę, która dawno wyszła za mąż. Młode małżeństwo wyjechało do Ameryki i słuch o nich zaginął. Rodziny Terka nie miał i żadnych znajomych.

Przesiadywał więc w domu. Jak kiedyś, patrzył — na przelatujące za oknem pociągi. Obracał globus. Zapadał w zadumę. — Czasem wieczorami wychodził na spacer.

* * *

Tak było parę miesięcy. Któregoś wieczoru przypomniał sobie Terka, jak o nim pisali w gazetach. Nabral otuchy, może jest sam — ale przecież coś w życiu zrobił. Wyjdzie na miasto. Zobaczy ludzi.

Taki był początek „codziennej kawy i gazetek“ w kawiarni.

* * *

Znali go wszyscy kelnerzy. Przychodził codziennie punktualnie o 4-tej. W święta bywał wieczorem w kawiarni.

Terka przyzwyczaił się do swej knajpy. Pamiętał kto kiedy bywa. Znał te panie, które bezzębami szczękami meły rozmową w kawie bułkę. Lubił chłopca od gazet. Kłaniał się z godnością właścicielowi.

Był zawsze sam, przy małym stoliku pod oknem. Z czasem przestał wyjeżdżać latem z miasta. Nie potrafił żyć bez swej kawiarni, w której zapomniano jego nazwi-

człowiek z kawiarni...

Daleki jeszcze szum — rósł. Rytmiczny stukot wdierał się do pokoju. Huk wstrząsnął domem, zadzwieczał szybami. Trwał sekundy — uciszał się, łagodniał — cichł szepcąc, zginął w oddali — zakończony echem gwizdu. Jeszcze obłoki dymu snuły się i wiorowały nad czarną, zmęczoną drogą żelazną.

Jakób Terka stał oparty o framugę okna. Patrzał w zadumie na tory. Pomyślał:

— Ależ popędził...

Terka marzył zawsze o podróżach. Dawniej nie miał na nie czasu. Teraz był zbyt starym i szanował swe leniwe lata, ciepłe papucie i wieczorne godziny zadumy. Pojmował to — patrząc w szary szpaler kamienic — na żelazne szyny. Przychodziło mu często do głowy, że życie zmarnował. Że wymienił wielką przygodę na małe nic nie znaczące troski i zabiegi codzienne.

Westchnął Terka — opuścił firankę i podszedł do biurka, na którym stał globus. Poruszył go palcem. Mały świat zakreślił się. — Tyle mórz — tyle krajów — pomyślał Terka i wydał wargi.

* * *

— Ktoś do pana — zagadnęła pokojówka Frania. Mówił, że z gazety...

Terka przywitał się z obcym. Usiedli. Reporter wyjął papier.

— A więc to pan pierwszy prowadził handel samochodami? — zagadnął dziennikarz. — Tak? Jest pan zastępczym pionierem w dziejach motoryzacji kraju... PIONIEREM...

Terka odpowiadał na pytania. Nieśmiało potakiwał. Wygrzebywał daty, cyfry, fakty. Kiedy dziennikarz poprosił go o fotografię, uświadomił sobie nagle Terka, że jest „czemś“. Że życie przyniosło mu coś w darze.

— Pionier... Pierwszy!... — powtarzał w myślach i z godnością zabrał się do szukania fotografii.

* * *

Gdy został sam, zaczął rozmyślać. Stopniowo pierwsze wrażenie mijało. Ochłodził. Materiał reporterszyny pójdzie do kosza — pomyślał — i fotografia przepadnie. A może to wszystko jakiś kawał? Bo coś to może obchodzić kogo, że on był kiedyś kupcem, sprzedającym samochody?

* * *

Trzeciego dnia bomba. W największym dzienniku, na całą szerokość strony czernił się tytuł: — „Inż. Jakób Terka pierwszym





KTO * NAS UBIERA?



Kupując materiał w wytwornych magazynach — próbując potem u krawca uszyty z niego garnitur — wkońcu nosząc go codzień na sobie, nie zastanawiamy się, ilu starań wymaga wyprodukowanie takiej tkaniny z wełny spotykanych w górach owiec...

Tatusiu! a z czego się robi ubranie?

— Moje dziecko... widzisz, to te owieczki, które spotkaliśmy w lecie na wycieczce w dolinie Komaterjału wełniany...

— No dobrze... ale czy z owieczek szyje się moje ścieliskiej, strzyże się i potem ich włos przerabia na sukienki?

— E nie! Dla ciebie kupuje mama materiał bawełniany... widzisz, rośnie taka roślina, z której włókien tkacz robi dla ciebie sukienki...

— Aha... tatusiu! a dlaczego sami nie robimy sukienek?

— Moje dziecko... tatuś nie ma na to czasu, bo uczy na uniwersytecie...

— A ten kapelusz? Kto go zrobił?

— To już są takie duże fabryki i tam wprawiają kapelusze...

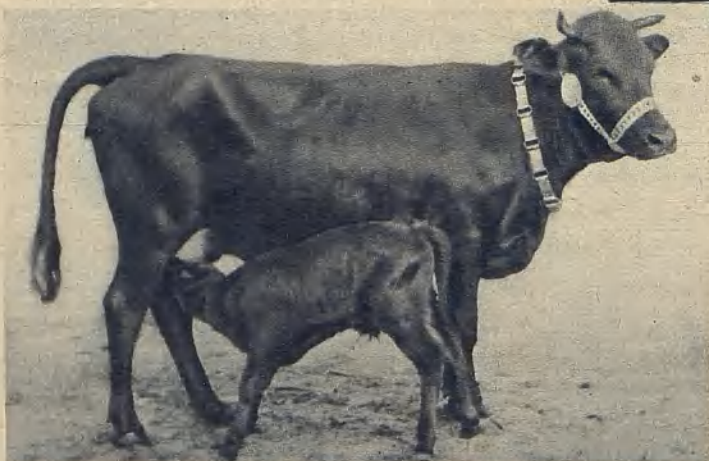
— A z czego?...

— No z filcu....

— Tatusiu! A co to jest filc?...

— Filc... filc... e, nie nudź mnie!!!

I tak kończą się często tego rodzaju rozmowy. „Tatusiu” — już nietylko człowiek z uniwersyteckim wykształceniem, ale wprost sam „pan profesor” — usiłuje pokryć niewiedzę ndaniem zniecierpliwieniem. Filc



Te oto sympatyczne „zwierzątka” dostarczają nam swej cennej skóry na obuwie...



Wiążąc codzień przed lustrem krawat, nie zdajemy sobie sprawy, z jak nadzwyczaj subtelnych nitok, uzyskanych z konów jedwabników, jest on utkany...



dawno przesłał go interesować... Jego umysł, od szeregu lat nastawiony na ściśle prawnicze problemy, utonął w tysiącach paragrafów i w tej jednostronnie naukowej powodzi utopił wiele praktycznych wiadomości z okresu studiów gimnazjalnych. To jedno ma



Dobrze zrobione buciki i odpowiednio dobrane do ubrania pończochy cechują eleganckiego gentelmana...

Wszystkie zdjęcia:
FOT. „AS”



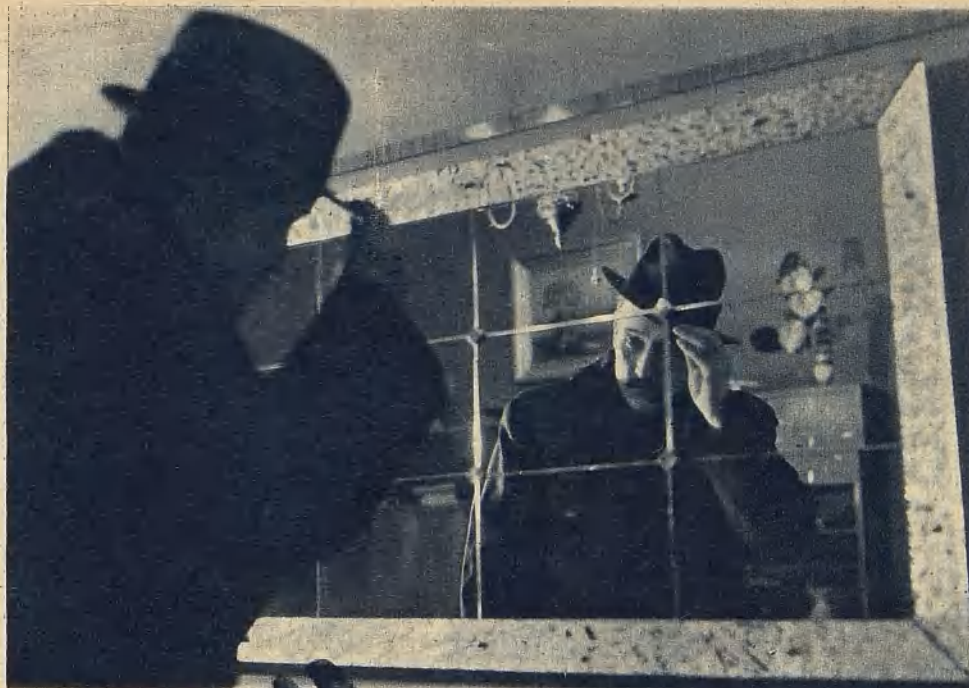
Tak wygląda zbiór bawełny, z której włókien powstaje z dodaniem jedwabiu bielizna...



Banknoty najlepiej czują się w skórze krokodyla...



Rogi bawole pozostaną najwłaściwszym surowcem na guziki...



Kapelusz, zrobiony z dobrego filcu, zachowa długo swój fason...



dobrze. — Ale co to są nici? — zapytamy w ślad za córeczką profesora. I wtedy zamiast rzeczowej odpowiedzi, usłyszymy od takiego „pana na cenzurowanem” mniej lub więcej zręczną bajeczkę, którą trzeba poprostu nazwać... błagą.

I tak coraz częściej można spotkać „inteligentów”, utrzymujących, że filc wyrabia się z mielonych piór, a pończochy fil d'ecosse z... włókien lnianych.

Swoją drogą, to pomieszanie pojęć i wiadomości, nieraz bardzo zasadniczych, znajduje częściowo wytłumaczenia w chaosie, który zapanował z chwilą wprowadzenia syntetycznych, lub zastępczych surowców. Wiemy, że na przykład guziki — ta jedyna ozdoba męskiego ubrania (nie mówimy o dodatkach, jak np. krawaty) — wyrabiane były z rogów bawoła. Odpowiednia apretura decydowała o przeznaczeniu guzika bądź do garnituru sportowego, bądź wieczorowego. Dziś coraz rzadziej spotykamy róg na naszych ubraniach. Zastąpiono go sztuczną masą — surowcem brzydszym, mniej trwałym, ale napewno znacznie... tańszym!

„pan profesor” na swe usprawiedliwienie.

Ale w jaki sposób my, młodzi, wytłumaczymy te braki? Jeśli już pretendujemy do miana ludzi wykształconych, natenczas będzie nam napewno bardzo głupio stwierdzić, że nie zdajemy sobie sprawy np. z czego zrobione są... pończochy! Ktoś, zapytany w tej „materji”, odpowiada najczęściej: z nici. No

Poniżej: Coraz rzadziej spotyka się cenne spody futrzane...



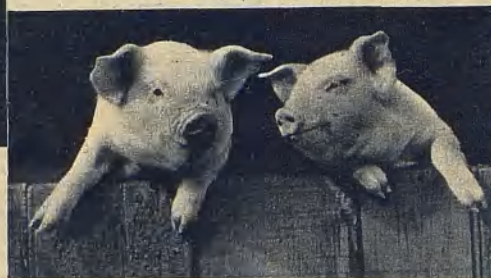
Pocciwy „król” rezygnuje z swej sierści na korzyść fabrykanta wysokowartościowego materiału na kapelusze...



Oto jak wyglądają rękawiczki dobrze ubranego gentelmana...



Na lewo: Przebiegły tchórz jest piękną i praktyczną ozdobą stroju zimowego...



Skóra tych „milutkich” zwierząt powędrowała od fabrykantów walizek do rękawiczników.

I tak powoli dzieje się z innymi akcesoriami stroju męskiego.

Pod znakiem taniości odbył się odmarsz wartościowych i jak pięknych spodów futrzanych. Filc z zająca lub królika na kapelusze, krawaty z prawdziwego jedwabiu itd. itd. — wszystko to zaczyna być powoli dla nas — ludzi postępu, dzieci XX wieku — tylko legendą.

Brummel.

KOŁYSANKA JEZUSKOWI DO SNU

KOLENDA



Słowa:
MARJA PARUSZEWSKA

Muzyka:
BOLESŁAW WALLEK-WALEWSKI

Wszystkie prawa autorskie zastrzeżone

Andantino.

1. *Spi* Je - zu - nio
2. *Już* o - wiez - ki
3. *Mróz* na szy - bach

p

spi, o a - niół - kach *sni.* *Już* na nie - bie
spia, chmur - ki szyb - ho *mkną.* *Tyl - ko* pie - sek
stał, rzeż - bi liść i *kwiat.* *A* wi - chu - ra

sempre staccato

gwiez - dek rój u - ko - ży - sal ludz - ki znój, A na dwo - rze
strze - że drzwi; by nie przy - szedł czo - wiek zły. Ko - lek na przy -
w po - lu dmie, ai Je - zu - sek zbu - dził się. Przelat! ocz - ka

śnieg tak pa - da, w lesie głod - nych wil - ków sta - da, lecz nie prze - rwa
piec - ku le - ży, trochę mru - ciał na pa - ste - rzy, bo tak gra - li
i tak słu - cha, że na po - lu za - wie - ru - cha. Ski - nął rące - ką

o - ne snu swemu Pa - nu tu.
z całych sił, jakby od - pust był.
ci - sza już pośród la - sów, wzgórz.

poco riten. *pp*



PANI STRASZNEGO ZAMCZYSKA

NOVELA



ANTONINA TEODOROWICZ

Tyle lat... Tyle lat! — mówił stary Jan, zacierając ręce. — Siadajcież panie... o, tutaj na ławie, ugoszczę jak mogę. I posadził mnie na wąskim twardym łóżku, podsunął jedzenie, papierosy, wódkę... cieszył się stary jak dziecko z mego widoku. Spochmurniał dopiero wtedy, gdy wiedziony ciekawością, spytałem naraz:

— Słyszałem Janie jakieś bajki o świętej pamięci panu waszym... że straszy, chodzi po zamku... cóż, nie boicie się? — Zaśmiałem się lekko, podczas gdy twarz starego sługi zmierzchnęła i stwardniała w wrogim wyrazie. Zagryzł mocniej fajkę i mruknął nieokreślenie:

— Et... co tam panie mówić o tem...

I splunął przez zęby niechętnie.

Długo musiałem go prosić, przekładać mu i tłumaczyć, nim wreszcie opowiedział mi tę historję, którą się z wami podzielę...

— Pamiętam jak przyjechali, bom ich sam wyszedł witać z chlebem i solą... a ona mnie od razu za serce chwyciła. Takie to było bledziutkie, wątłe, a śliczne i białe, jak dziewczynka, jak kwiatek na wiosnę... wysiadła z powozu i zaraz do mnie:

— Witajcie — mówi — strasznie wam dziękuję... i uśmiecha się tak jakoś... et, panie, jak ona się uśmiechnęła... Aż ja stary poczułem, że mi się serce ścisła i tak mi jakoś było... ałem tylko spojrział na nią wdzięcznie, a potem zaraz na niego.

— Myśli pan, że się zmienił? Myślałem: powie dobre słowo, uśmiechnie się, zmięknie, popatrzy... Gdzie tam. Szedł za nią z tą swoją chmurką, ciemną twarzą, i ani mu wargi nie drgnęły, tylko ujął ją pod ramię i wprowadził do zamku, jak dziecko, czy psa... Nieodrodny potomek tego rodu, które-

towarzystwa, jeno pan, ino pan, pieski i stara Mańka... a pani młoda... i trzeba... — ałem już nie dokończył, bo jak spojrziałem na niego... panie świeć nad jego duszą! Tom się cofnął i jakiś mnie dreszcz przeleciał przez krzyż... Panie, jakie on miał te oczy. Zawsze miał dziwne, głębokie i takie jak u kota żółte a wielkie. Ale wtedy to mi się zdawało, że mu się palą żywym ogniem, że mnie parzą i biją, i zabić chcą na śmierć... na śmierć! Cofnąłem się, a on powiada cicho:

— Idź!

Nie więcej. Ale gdy szedł do drzwi, to czułem, jak mnie te jego żółte oczy przeszywają na wskroś, na wyłot...

Od tego czasu zaczęło się wszystko źle.

Raz pani przychodzi do mnie i powiada:

— Wiecie Janie, będziemy mieli dziedzica! — I rumieni się, jak wisienska i uśmiecha się, a oczy to ma takie jasne... Aż mi dech zaparło, żem nie powiedzieć nie mógł, jenom się do jej ręki pochylił, a ona mnie pogłaskała po głowie, jak matka i mówi ciszej:

— Widzę, że się cieszyicie razem ze mną, żebyż to wszyscy tak się cieszyli! — i poszła, a ja wiedziałem o kim mówi...

Pani teraz uśmiechała się częściej i krzątała się po zamku, nuciła coś czasem... albo siadała przy wielkiem oknie i szyła maluśkie sukienki.

A on tylko oczami za nią wodził i wargi zaciskał, jakby go coś hardzo, nie do wytrzymania bolało.

Wiedział pan kiedy oczy kota, gdy jest zły? Nie? Bo on właśnie miał takie oczy kota, co lada chwila a rzuci się na człowieka i będzie gryzł i szarpał i dusił...

— Pamiętaj — jest twoje! Jeśli je kiedy skrzywdzisz, bądź przeklęty! bądź przeklęty! Pamiętaj! —

W tydzień później, w nocy, wita się w mękach, a on nawet palcem nie kiwnął, żeby po doktora posłać. Wszystko ja i stara Mańka. Siedział w bibliotece, szklanek wódki trzymał w ręce, spokojny, twardy, niemy, tylko mu się te żółte oczy zaświeciły, gdy wszedł. Ale nie spytał o nic.

— Cóрка, jaśnie panie! — powiedziałem — ale trzeba może księdza...? — Głos mi się trząsł, bo ona tam leżała biedulka i więcej jej było do śmierci, jak do życia...

Przed śmiercią zawołała go. Przyszedł, stanął nad nią i nie nie mówił, patrzył wprost w oczy. Wyciągnęła z wysiłkiem rękę, dotknęła nią jego dłoni, i powiedziała cichutko:

— Anna! Twoja córeczka... nie skrzywdź, bo by cię Bóg skarał!... bądź dobry!

Nie zdążył nie odpowiedzieć, a już opadła na poduszki i skończyła. Spojrzał, pochylił się, patrzył długo, jakby ciekawie, a potem wyszedł...

Pił do rana.

— Anna była całkiem do matki podobna. Pokochałem to dziecko, jak swoje, i uczyłem, jak ma z ojcem postępować. Ale jedno co miała z niego, to upór. Mogłem mówić sto razy: nie drażnij go! To właśnie, gdy przyszedł na obiad, nie było jej, gdy spał — krzyczała, gdy czytał — przeszkadzała... Coś w niej było takiego przeciwko niemu, że nie mogłem w niej tego pokonać. Żyli ze sobą jak pies z kotem, gorzej jeszcze. Dziwne to było dziecko. Ciche, uparte, zamknięte w sobie, poważne... Najwięcej, to

PIUSTA PONĘTNE, CERA GŁADKA TO CEDIB'A KREM i POMADKA

go pradziad zmarł w obłąkaniu, toczony straszną chorobą... Od tego czasu wszyscy oni byli jacyś dziwni. Szła za nim posłusznie, bledziutka, cicha i słodka, małe nóżki ledwo zdążyły za jego wielkimi krokami. I wtedy już, patrząc za nimi, wiedziałem: nie łatwe będzie miała z nim życie, nie łatwe.

— I nie łatwe też było. Trzeci rok już szedł, a ona coraz bledsza i bledsza, cichsza i jakaś taka... et, co tam, nie umiem tego powiedzieć, ale była jak taki słaby, ledwo rozdmuchany ogienek, co gaśnie z dnia na dzień, z dnia na dzień...

...żeby jej czasem powiedział dobre słowo, przytulił, pogłaskał, możeby w tym ciepłe ożyła, rozkwitła. Ale on jak zawsze ani jej o zdanie nie pytał, ani baczyl czy zmęczona czy nie, wesola czy smutna... Raz się ośmieliłem i zaniósłszy mu kawę do biblioteki, stając przy fotelu i powiadam prosto w oczy:

— Ja myślę, proszę jaśnie pana, że nasza pani, to się biedactwo zanudzi. Ani to niema

Nie posłał jej do doktora, ani nie zważał, że chudsza i bledsza z dnia na dzień. Unikała go, jak mogła i schodziła z drogi.

Raz, pamiętam, poprawiałem drzewo w kominku, gdy on przyszedł. Pani siedziała w fotelu i jak zwykle coś szyła, a on zaraz do niej. Oczy mu się palą, jak żółte ognie i powiada:

— Wychodziłaś?

— Ależ nie — odpowiedziała mu spokojnie — siedziałam w domu. Szyję dla dziecka.

I znowu taki blask miłości rozjaśnił jej oczy, że go znieść nie można było. Rzucił się, jakby go kto nożem ukłuł.

— Dziecko! Dziecko! Dziecko! Wciąż ono, nie chcę słyszeć o niem. Rozumiesz? Nie chcę! Nie chcę nie wiedzieć o niem!! — Przeklęty bękart! — ryknął wściekle i skończył do niej. Myślałem, że zemdleje. Wszystkie krew jej uciekła z twarzy i wargi tak drżały... Podniosła się i powiedziała takim dziwnym głosem, że do dziś go pamiętam:

lubiła siadywać w pokoju matki, i tam bawiła się jej drobiazgami i sukniemi... Spędzała tak całe godziny, cicha i spokojna. Dopiero gdy usłyszała kroki ojca, jakiś djabł wstępował w nią i poddawała mu się od razu...

Gdy jaśnie pan ożenił się po raz drugi, z tą... rozpętało się piekło w domu! Nowa pani idzie do łazienki: Karaluchy pływają! Pani do łóżka spać: mokra gąbka, albo za ba... suknie znajduje wyplamione, perfumy rozlane...

— Anno — mówiłem nieraz łagodnie. — Przestań! nie można tak... nie trzeba drażnić twojej nowej mamy!

— Ona nie jest moja mama! — Odpowiadała mi zawsze, i dodawała z błyskiem w oczach: Nienawidzę jej! Nienawidzę!

Pan tylko patrzył i nie nie mówił. Gdy mu się pani skarżyła na Annę, śmiał się. Czasem brał Annę na kolana przemocą, i trzymając jej buzię w dłoniach, pytał:

— Kochasz mnie, Anno?
— Nienawidzę cię! — odpowiadała ta mała zniką i wyrzywała się z jego rąk, a on śmiał się i mówił tylko:

— Ach, tak? Naprawdę?
Pił coraz więcej, a pani z nim razem. Nie lubiłem jej naprawdę, przyznaję. Ładna była wprawdzie, jak cyganka, śmiała się dużo i głośno, albo wybuchała niepołączonym gniewem. Zabawiali się teraz państwo na zamku wcale nieładnie. Gości sprowadzali, co pili bez pamięci, niszczyli zamek, sad i ogród... Albo często państwo razem — bo to oboje strzelali dobrze — brali rewolwery i walili do psów, do świeczników... jak popadło. Pan schudł, szczyrniał, usta mu się zacisnęły jeszcze więcej, tylko oczy mu gorzały, jakoś niesamowicie żółte, nieludzkie.

W ten ostatni wieczór, w jesieni, jak dziś pamiętam, wiatr wył i hulał po zamku, trzaskał okiennicami, szalał w komnie i dudnił po strychach... Anna siedziała gdzieś w swoich pokojach, a ja podałem państwu kolację na stół, i czytałem chwilę, a potem mi się jakoś oczy skleity, głowa zaczęła się kiwać, i zasnąłem, sam nie wiem kiedy.

Obudził mnie strzał. Jeden... drugi... trzeci. Zerwałem się przerażony! Co to? Na górę? Gdzie?

Chwyciłem świecę i poleciałem na górę. Przebiegłem jedną salę, drugą, trzecią... Aż dobiegłem do sali portretowej, uchyliłem drzwi i zmartwiałem! Na środku sali, ze szklankami w jednej, a z rewolwerem w drugiej ręce, stali pan i pani i raz jedno, raz drugie strzelało do portretów wiszących na ścianach. Pan śmiał się, oczy mu gorzały dziko, i wołał do niej:

— Teraz ty! Wal prosto między oczy! Między oczy! Mordujemy pradziadków! — I sam walił raz po raz między oczy portretów, dziurawiąc każdy celnym strzałem. Jakoś dziwnie, niesamowicie wyglądali ci przodkowie poważni, wiszący na ścianach, z dziurami od kul między oczami. Sala tonęła w światłach

świec, i tylko po kłach snuły się szare, brudne cienie.

— Między oczy! Między oczy! — wołał pan i popijał ze szklanki, gdy ona strzelała. Zobaczywszy mnie, zaśmiał się dziwnie, i wrzasnął:

— Hej, Janie! Wódki! Mordujemy pradziadków!

Już chciałem zawrócić i uciekać stamtąd, gdy mignęła mi tuż koło nóg mała figurka i nim zdążyłem ją zatrzymać, wpadła do sali. Pan właśnie podnosił rewolwer. Został już tylko jeden portret...

...Jasna, uśmiechnięta, stała na nim matka Anny, w białej, dziewczęcej sukience, i patrzyła na nas swymi miłymi, ufnymi oczami. Anna stanęła przed portretem boso, w koszulce tylko, z rozlarganymi włoskami i rozłożywszy ręczki, krzyknęła jakoś trochę śmiesznie, przejmująco i boleśnie:

— Nie strzelaj! Nie strzelaj!

Opuścił rewolwer, oczy mu zabłyśły wściekłe, zbliżył się o krok i warknął przez zęby:

— Precz! Precz!

— Nie strzelaj! Słyszysz? Nie strzelaj! — krzyczała Anna histerycznie swym dziecięcym głosem — do mamusi nie strzelaj! Nie strzelaj!...

Potem, to sam nie wiem, kiedy się to wszystko stało. Równocześnie rzuciłem się naprzód, w przeczuciu tego co się może stać... równocześnie zabrzmiał strzał i mała figurka śmignęła ku wyciągniętej ręce pana, zabrzmiał słaby, przejmujący krzyk dziecka i dziewczynka opadła na ziemię, jak śmieszny, mały łomoczek, zwinęła w kłębuszek.

Gdy podbiegłem i podniosłem ją, nie żyła już. Zginęła na miejscu. Miała oczy rozwarłe szeroko, pytające i smutne... I patrzyła niemi wprost na pana, który spoglądał na nią skamieniały, bez słowa. Był śmiertelnie blady, z zamartłą nagle twarzą. Ciszą była taka straszna...

Pani wrzasnęła nagle i uciekła, jakby ją

tysiące djabłów goniło. Wtedy ruszył się z miejsca i wolno, wolno uklęknął przy dziecku. Ujął rączkę Anny i pochyłony patrzył wprost w jej martwe oczka swymi żółtymi, żrenicami. Rozpalały się w nich raz po raz jakieś szaleńcze, złe błyski. Czulem nieomal, jak całe jego ciało drżało, jak prężyło się w jakiejś okrutnej, ponad siły walce. Ręce, trzymające rączki Anny, były za ciśnięte tak silnie, że wpięły się wprost w dłonie dziecka. Z początku nie rozumiałem co mu jest, ale potem...

— Chciał płakać... a nie potrafił!

Łamał się cały w beznadziejnej walce z samym sobą, z siłą, co uczyniła jego serce suchem, spalonym pogorzeliściem...

Pochylony trwał tak bez ruchu, bez łez, bez cienia jakiegokolwiek uczucia w żółtych, dziwnych oczach, może chwilę... może godzinę... dwie...

Czy mogłem wtedy zliczyć czas?

Wreszcie podniósł się z trudem. Wyprostował się, puścił ręce Anny. Opadły na podłogę z niedającym się opisać stuknięciem.

Szedł do drzwi zataczając się, potknął się o próg i wyszedł.

Pił do rana. A rano, gdy zasnąłem zmęczony czuwaniem przy zmarłej, zbudził mnie strzał. Wiedziałem odrazu, co się stało. To on.

Znalazłem go przed portretem pani, zwinętego w kłębek, jak Anna wczoraj. Żółtymi oczami patrzył wprost na mnie i tych oczu jego nigdy, póki życia, nie zapomnę! Nigdy!

— Powiadają, że w zamku straszny. Że „on“ chodzi po nocach i jęczy, ale ja nie widziałem go nigdy...

— Duchy? Cóż mi mogą zrobić? Prędzej im potrzeba pomocy... jemu, gdy przychodzi, może przed portret i patrzy swymi żółtymi oczami i kładzie rękę tam, gdzie leżała mała główka Anny...

Zresztą... może to tylko ludzie tak opowiadają?...



W. COLLINS — NOWELA PRZEKŁAD W. DE RICHELIEUX

Dokończenie z N-ru 51.

Tu kończy się niezwykle opowiadanie ojca Le Bel. Należy dodać, a świadczy to do pewnego stopnia o postępie ludzkości, że ten barbarzyński mord popełniony za wiedzą i wolą królowej Krystyny, któryby w czasach feudalnych nie zwrócił uwagi, jako zwyczajny i zrozumiały przykład władzy panującego nad wasalem, wywołał w połowie siedemnastego stulecia najwyższy niesmak i grozę w całym Paryżu. Ówczesny pierwszy minister, kardynał Mazarini — który, jak wiemy z historii, nie był człowiekiem bardzo względny — wysłał list do Krystyny, zawiadamiając ją, że „okrutna zbrodnia, popełniona z jej wiedzą w pałacu w Fontainebleau, jest wystarczającym powodem do wygnania królowej Szwecji z posiadłości jego pana, który jak każdy uczciwy człowiek w królestwie, oburzony jest z powodu dokonanego na ziemi francuskiej bezprawia“.

Na list ten królowa Krystyna dała odpowiedź:

„Panie Mazarin — Ci, którzy donieśli panu o szczegółach śmierci koniuszego mego, Monaldeschiego, wogóle nie o niej nie wiedzą. Uważam za czyn wybitnie bezsensowny zaprzatanie uwagi tylu ludziom sprawą tak prostą. Postępowanie pańskie, samo przez się śmieszne, zgoda mnie jednak nie dziwi. Zdumiona jestem tylko, że pan i pański władca ośmielili się wyrazić mi naganę. Zrozumieć musicie wszyscy — słudzy i pa-

nowie, maluczy i wielcy — że podobało mi się tak postąpić. Nie jestem zobowiązana zdawać sprawy z moich czynów i nie zdaję przed nikim — tembardziej przed ludźmi pańskiego pokroju.

Wiedźcie i postarajcie się o rozgłoszenie, że Krystyna nie dba ani o dwór wasz, ani o pana. Kiedy się pragnę zemścić, nie mnie od zemsty powstrzymać nie może. Honor mój wymagał, abym tak uczyniła; wola moja jest moim prawem, a pan powinien również szanować ją... Zrozumi, jeśli laska, że jestem królową zawsze i wszędzie i że otaczający mnie ludzie — chociaż zdolni do każdego przestępstwa — są o wiele lepsi, niż pańscy myrmidonowie.

Skorzystaj z tej nauki, Mazarinie i nie narażaj mi się nigdy w przyszłości. Tego ci nie radzę. Niech cię Bóg strzeże przed wy-

powiadaniami potępiających mnie uwag! Doświadczam się o tym nawet na drugim końcu świata, gdyż mam przyjaciół i stronników równie bezwzględnych i czujnych, jak pan, chociaż nie tak drogo opłacanych“.

Odpowiadając w ten sposób pierwszemu ministrowi Francji, Krystyna opuściła bezzwłocznie królestwo.

Przez trzy następne lata podróżowała. Po upływie tego czasu, kuzyn jej, król Szwecji, na którego korzyść abdykowała, umarł. Wróciła natychmiast do ojczyzny, aby raz jeszcze ująć władzę w swe ręce. Ale tu pomściła się na niej okrutna zbrodnia, popełniona za jej wiedzą. Dzielną i prawą naród szwedzki nie chciał być rządzony przez kobietę, która kazała zamordować Monaldeschiego. Zagrożona, na wypadek pozostania w Szwecji utratą dochodów, jak i utratą władzy królewskiej, bezlitosna Krystyna po raz pierwszy w życiu uczuła się zwyciężoną. Zrezygnowała jeszcze raz z praw i królewskiego tytułu i opuściła znowu ojczyznę. Ostatnie lata życia spędziła w Rzymie. Umarła tam w roku tysięcznym sześćsetnym osiemdziesiątym dziesiątym. Niezwykły i nieugięty charakter tej kobiety przebiega i w epitafium, które kazała umieścić na swym grobie. Dzieje jej namiętne, zadziwiające, grzesznego żywota zamykają się w tem jednym zdaniu:

KRYSTYNA ŻYŁA LAT SZEŚĆDZIESIAT DWA.

Wśród bogactwa naszych obrzędów i zwyczajów świątecznych w okresie Bożego Narodzenia, najbardziej charakterystycznym jest zwyczaj obnoszenia szopki krakowskiej, która posiada pod względem konstrukcyjnym i dekoracyjnym odrębny charakter. W przeciwieństwie do szopki włoskiej, przedstawiającej święte zdarzenia zapomocą bogatej scenerji nieruchomych figurek, artystycznie wykonanych w terrakocie lub w drzewie, nasza szopka tworzy konstrukcyjne połączenie teatrzyku marionetkowego z nieruchomą szopką włoską.

Prastarą historję posiada krakowska szopka. Jest ona niewątpliwie wspomnieniem średniowiecznej misterjalnej sceny. Wskazuje na to jej trójdzielna struktura architektoniczna, przypominająca żywo średniowieczną misterjalną scenę — trzech światów, ziemi, piekła i nieba.

Krakowska szopka jako wytwór ludowej sztuki, bywa prymitywnie skleconą z kartonu, oblepionego kolorowym papierem i bibułkami. Jak widzimy na załączonych reprodukcjach, składa się z frontonu piętrowej budowli, zakończonej baniastą kopułą. Boki pałacu zdobią zawsze dwie wieże, wyraźne wspomnienia marjackich, okolonych u szczytu wieńcem małych wieżyczek. Pałacowa fasada, oświetlona od wewnątrz szopki, posiada w parterowej kondygnacji rozszerzony portal, zamykający otwór marionetkowej sceny, opatrzonej kurtyną. Miejscem działania arcydawnych bohaterów szopki, wywodzących ród swój w prostej linii z rybałtowskich komedji i średniowiecznych intermedjów, jest scena umieszczona u dołu tej trójdzielnej budowli, w której łatwo odróżnić możemy dwie inne architektonicznie z całością związane sceny — światy.

Są niemi taras zamkowy z ustawioną na nim nieruchomą grupą, wyobrażającą święte zdarzenie. U góry ponad kopułą pomiędzy wieżami unosi się zwykle napis: „Gloria in excelsis Deo“, podtrzymywany przez papierowe aniołki, lub gwiazdki.



Szopka krakowska ze zbiorów dyr. Ludwika Strojka.

HEJ KOLENDA... KOLENDA!



Na lewo: Szopka krakowska. (Krak. Muz. Etnogr.).



Szopka krakowska ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie.

bonera w Neapolu, (z r. 1484), Zakony Franciszkanów przeniosły ten piękny zwyczaj do Polski.

Temperament i humor naszego ludu wprowadziły z czasem do liturgicznych postaci, rubaczną figurę naszej komedji dell'arte i sprawiły, że szopka w ciągu wieków ztraciła coraz bardziej swój kościelny charakter a stała się miniaturowym surogatem ludowego teatru.

Obowiązkiem naszym jest czuwać, aby krakowska szopka nie ztraciła swego odwiecznego charakteru i nadal łączyła współczesność z dawną tradycją. Szanujmy więc i popierajmy przemiły zwyczaj obnoszenia po wsiach i miastach szopki krakowskiej, posiadającej szacowne piętno swoistej, regionalnej sztuki ludowej.

M. Dienstl-Dąbrowa.



Szkic rysunkowy Jacka Malczewskiego, przedstawiający hold pasterzy.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka —
obliczone na 3—4 osoby.

BARSZCZYK NOWOROCZNY podany nad ranem po zabawie sylwestrowej, widziany bywa bardzo mile szczególnie jeśli kieliszki witające Nowy Rok, wychylane były do dna i nie zbyt rzadko. U nas w Polsce, barszczyk po zabawie stanowi nieodzowne zakończenie, chwala go też za granicą (choć go nie umieją gotować), a w Anglii szczególnie go cenia. Wiedziałam go tam jako konserwę sprowadzaną od nas, a z jakiego powodu nie fabrykują go sami jest niezrozumiałem.

Barszczyk taki gotowany być musi na mocnym rosole wygotowanym z drobno porąbanych kości wołowych, mięsa wieprzowego i wołowego (ilości nie podaję, im więcej, tym lepiej), włoszczyzny, paru grzybków, paru ząbków czosnku i paru większych buraków. Gęsty czerwony doskonale ukiszony barszcz, jest nieodzowną oczywiście częścią składową wygotowanego rosolu, ma być tyle ile się dolewa czystego barszczu, który się zagotowuje osobno raz tylko i szybko, gdyż inaczej straci kolor, poczem miesza się go z odcieźnionym rosółem, kontroluje czy dość słony, łagodzi ewent. ostrość odrobiną cukru i podaje gorący w filiżankach. Osobno podać można paszteciki francuskie naleśniki, ale te nie są konieczne. Czasem daje się do filiżanek trochę w cienki makaron skrajanych buraczków lub w plasterki pokrajane parówki albo jedno i drugie.

AUSZPIK DO GARNIOWANIA PÓLMISKÓW. Kilka listów naszych miłych Czytelniczek skłania nas do podania tego obecnie w przededniu zabaw i przyjęć szczególnie aktualnego przepisu.

Ażeby auszpik odpowiadał swemu celowi, musi być zupełnie czysty, „klarowany“, wedle technicznego wyrażenia. Nagotowany być może z samych nówek cielęcych lub z dodatkiem mięsa wołowego lub drobiu, aby był pożywniejszy. Ponieważ to jednak nie jest głównym celem auszpiku, podajemy tu przepis służący tylko do ozdoby półmisków, przyczem zaznaczamy, że galaretka ta jest bardzo łatwo strawną i polecana być może osobom o najwrażliwszych żołądkach. **Oto przepis.** 4 nóżki cielęce oparzone i oczyszczone, sparzyć raz jeszcze wrzącą wodą, ośkrobać, wymyć i nastawić do gotowania z dużą ilością włoszczyzny, cebuli, soli i troszką korzeni. Wody nalewa się tyle, aby wszystko było przykryte. Gotuje się tak długo, aż mięso od kości odstanie. Wtedy obiera się mięso z kości, które można użyć do smażenia itp., a smak, którego nie powinno zostać więcej niż litr, przecedza się przez gęste sitko, dolewa szklankę wina, włoska sok z całej cytryny, dodaje dwa białka wraz z żółtkami z jaj (białka rozbić w trochę zimnej wody), zagotowuje, dodaje dwa listki żelatyny licząc na 1 litr i odstawić na godzinę, poczem zdejmując się tłuszcz z wierzchu na resztę płynu wylewa się na serwetę, rozłożoną na sicie. Gdyby po zastudzeniu galareta okazała się za wolną, trzeba ją rozgrzać i dodać żelatyny lecz nie za wiele, gdyż za twardy auszpik nie jest dobry, zwykle wystarcza 1½ do 2 listków żelatyny na litr płynu. Chcąc mieć auszpik kolorowy, dzieli się płyn na trzy części, jeden farbując się szafranem na żółto lub pozostawia biały, drugi palonym cukrem na brązowo a trzeci sokiem buraczanym na czerwono lub szpinakiem na zielono. Są też w handlu farby spożywcze, któremi barwić można galaretkę. Płyn wylewa się płytko na talerze, a po zastudzeniu kraje w paski lub drobną kostkę i ubiera nim półmiski. Do ubierania półmisków z rybą sporządza się auszpik w ten sam sposób, dając w miejsce nówek cielęcych, głowy i odpadki rybne.

GALANTYNA Z KUROPATW. 25 dkg cielęciny, 10 dkg biału, tyleż wątróbki cielęcej oraz bułkę rozmoczoną w mleku, przemleć dwa razy, wymieszać z łyżką masła utartą z dwoma żółtkami i jednym białkiem, posolić i popieprzyć. Masą tą nadziewa się oczyszczone odleżałe w soli kuropaty lub jarzabki; napelnia się miejsce pod skórą na piersiach poczynając od szyi, odcinając skórę od mięsa ostrożnie, aby się nie przedarła, poczem się skórę przy karku zaszywa. Ptaszki ułożone w radlu na poszatkowanej drobno jarzynie dusi się w maśle podlewając bulionem. Zduszone przekrawa się na połówki układa się w formie wylanej auszpikiem, ubiera piklami cytryna, paskami trufl, szyszkami raków itp., zalewa auszpikiem i zastudza. Wydane na półmisk ubiera się zieloną salata. Osobno podaje się sos tatarski lub hollenderski. Jest to eleganckie danie na śniadania lub zimne kolacje.

PACZKI SEROWE. Pół filiżanki letniego mleka, w którym rozpuszczono kostkę cukru i 2 dkg drożdży zabrać się z łyżką maki i stawia w cieple. Osobno uciera się 4 dkg masła z jednym żółtkiem i jednym całym jajem, oraz 4 dkg cukru, w trakcie ucierania dodaje się po łyżce 15 dkg zmielonego lub startego twarogu niezbyt mokrego. Do utartej masy wlewa się podroste w między czasie drożdże, dodaje 25 dkg dobrej maki i wybija doskonale na gładkie dość tegie ciasto, które się zaraz wkłada na stolnicę, wałkuje na grubość palca i wykrawa większym wykrawaczem okrągłe nie nadziewane placuszki. Godzinę mają stać w cieple, poczem się je smaży jak paczki na mieszanym tłuszczu. Po usmażeniu nakrawa się je z boku (wewnątrz będą puste) i napelnia konfiturami. Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Przyrząd do wyciskania cytryn

Wiele kłopotu przyczynia nieraz gospodyni umiejętnie wyśnięcie cytryny, lub też pomarańczy, tak, aby nie pozostało w niej ani trochę soku. Obok zreprodukowanego przyrządu do wyciskania „Fripu“ obmyślony został przez berlińskie biuro porad dla gospodyń „Heibaudi“ i posiada tę dogodność, że pozwala zużytkować w stu procentach daną cytrynę oraz zaoszczędza gospodyni brudzenia sobie palców.



7 ♦ DNI ♦ DOBREJ ♦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Święta rzym.-kat.	Tydzień 53	Grudzień	Dni 31
Niedziela 27 Jana Ewang.	Zupa z groszku zielonego /z puszek/. Paszteciki mięsne w omletach. Zrazy à la Nelson z jarzynkami. Kompot. Paczki serowe. Kolacja: Poledwica wieprzowa z sałatką z czerwonej kapusty.		
Poniedziałek 28 Młodziej. męcz.	Zupa na podróbkach. Civet z zajęczego przodka z kluseczkami. Pularda pieczona z kompotem. Szarlotka z resztek struclii z jabłkami. Kolacja: Wątróbka z ryżem.		
Wtorek 29 Tomasza b.	Zupa ogórkowa z ziemniaczkami. Grzanki z bułki z marchewką. Pieczeń barania na dziko z makaronem. Suszone śliwki w cieście. Kolacja: Pasztet z dziczyzny.		
Sroda 30 Dawida kr.	Kapuśniaczek z kiełbasą. Salsefia z masłem i bułeczką. Zrazyki cielęce w pomidorowym sosie z ryżem lub kaszką. Strudel ziemniaczany. Kolacja: Kotlety z włoskiej kapusty w cieście.		
Czwartek 31 Sylwestra pap.	Grzybówka z płatkami. Pierogi z kaszką krakowską i serem. Omlet z grzybkami lub maszynowy rozbratel z ziemniaczkami. Kompot mieszany. Sylwestrowka: Różne kanapki do wódek. Galantyna z kuropatw z tatarskim sosem. Rutada z głowy wieprzowej z mieszaną salata majonezową. Budyn à la Harlequin płonący lub paczki. Nad ranem barszcz na rosolu.		
Tydzień 1		Styczeń	
PIĄTEK 1 Nowy Rok 1937		Rosół z drobiu z grzybkami. Ryjek wieprzowy z chrzanem. Indyk z kasztanami. Kompot. Tort migdałowy w kolorach. Kolacja: Zimny indyk z brzosznicami.	
SOBOTA 2 Makarego op.		Zupa owsianka. Brukselka z masłem. Potrawka cielęca z ryżem. Purée z marchewki. Legumina grysikowa. Kolacja: Sledzie marynowane lub wędzone.	

Perfumy * wczoraj * a * dziś.

Obrzmi postęp nauk technicznych, jaki po wojnie obserwujemy we wszelkich dziedzinach życia, zaznaczył się również bardzo wyraźnie w przemyśle perfumeryjnym. Piękna pani, dobierając dziś perfumy do różnych okoliczności życia towarzyskiego i codziennych swych potrzeb, jest przeważnie przekonana, że perfumy o zapachu kwiatowym to perfumy dnia wczorajszego, a te dzisiejsze, w których znajduje prawdziwe upodobanie, to nowoczesny cocktail syntetycznych środków z chemicznej kuchni perfumeryjnej.

Te perfumy kwiatowe modne były przed wojną. Im bardziej zbliżoną była do natury konsystencja zapachu, tem więcej znajdowały zwolenników a przedewszystkiem zwolenniczek. Były modne, poszukiwane, upajające, a pozostały tylko po nich wspomnienia i dziś nikt nie zapyta o „Vera Violetta” Roger et Gallet lub „Oeillet Fané” Grenoville. Zapachy kwiatów rozwiały się i holdujemy dziś nowoczesnym perfumom, których rafinowane wonie nie przypominają już podstawowych składników, z jakich powstały, a jakimi są do dziś eteryczne olejki kwiatowe.

Pionierem dzisiejszych perfum syntetycznych jest Coty, który pierwszy zastosował przy fabrykacji perfum wysoki procent środków chemicznych. Tak powstał zapach „Rose Jacqueminot”. Idąc nową drogą fabrykacji wyprodukował Houbigant swój „Oeillet du Roy”, a Piver „Trèfle Incarnat”, które to perfumy otwały nowe możliwości uzyskiwania całkiem odrębnych zapachów, zawsze jednak w połączeniu z olejkami kwiatowymi, które pozostały zasadniczymi składnikami perfum. Obok nich czerpie się środki pomocnicze z ekstraktów wonnego drzewa jak cedr

lub ze świata zwierzęcego jak ambra. Ambra to najstarsza perfuma świata a do dziś niezastąpiona w nowoczesnym ujęciu techniki perfumeryjnej. Znajdujemy ją i w najnowszej perfumie Chanela „Cuir de Russie”, która jest niesłychanie skomplikowaną mieszaniną składników naturalnych i chemicznych. W skład jej wchodzi olejki kwiatowe, przedewszystkiem różany, jaśminowy, irysowy.



Kobieta i puszek...

muskatulowy oraz ambra.

Spojrzawszy nieco w dziedzinę alchemii naszych perfum, będziemy łatwiej orjentować się w ich doborze do własnego gustu przedewszystkiem, a następnie do tylu innych czynników, które w rachubę wchodzić tu muszą, jak pora roku, gatunek materiału danego ubioru, intensywność karnacji ciała, kolor włosów, oczu oraz intensywność rumieńców, warg itd.

Niema kobiety, która nie lubiała by perfum. Obłok zapachu, który stwarza wokół nas dobra perfuma, to właśnie ta atmosfera, w jakiej czujemy się najlepiej, otulone jej upojną wonią. W zimie, gdy cała nasza natura skłania się ku źródłom wszelakiego



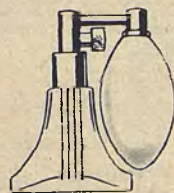
ciepła, szukamy perfum intensywniejszych, trwalszych, mocniejszych, takich, które dłużej stwarzać będą wokół nas atmosferę promieniującą miłym, łagodnym ciepłem. Nie wszystkie zwolenniczki perfum znają tajemnicę powstawania tego zjawiska, więc uchylamy i ten rąbek tajemnicy. Weźmy perfumy takie, jak „Or” Coty'ego, „Crêpe de Chine” Millota lub „Zibeline” Weilla. Zamiast rozpylać je na suknie, dajmy ich kilka kropeł na ramiona, gdy wkładamy wełnianą sukienkę. Wtedy dopiero uzyskamy cały „charme” tych zapachów, gdy promieniować one zaczną ze skóry, rozgrzanej pod okryciem wełny. Perfumy rozszarpią się na cząsteczki składowe, z których każda wyzwoli w ogólnym zapachu swoją indywidualność, dodając ekspresji ogólnemu wrażeniu syntetycznej woni.

Jeszcze dalej pójść można w rafinowaniu używaniu perfum, używając mydła o tej samej woni, jakoteż pudru i wody toaletowej. Jakże orzeźwiająco działa np. ciepła kąpiel, do której dodamy kroplę ulubionej perfumy, lub też rozpylenie, na wytarte po zimnej kąpieli ciała, wody toaletowej w tym samym gęście! Używając tak dobranych składników, mamy stale to przemile uczucie wonnego obłoku wokół siebie, który nie jest niczem innym, jak unoszącą się z naszego ciała wonią, zależnie od każdego niemal ruchu, jak i od wzmagającej się lub zniżającej temperatury ciała.

Względem oszczędności, którym stale przyznajemy prymat w życiu codziennym, nie powinny przy takich metodach być wystawione na szwank. Używanie bowiem samej perfumy jest znacznie mniej ekonomiczne, niżeli kombinowanie kilku składników toaletowych o tych samych zapachach, zwłaszcza, jeżeli zapoznamy się z ich rafinowaniem, ale skutecznym używaniem. — A piękna pani lubi nie tylko, aby dla niej samej zapach był stałą atmosferą, lecz także, by pozostawiał smugę woni po jej przejściu i udzielał się z każdego przedmiotu, którego dotkną jej drobne dłonie. Tej sztuki nie dokaże przy oszczędnym używaniu drogiej zazwyczaj perfumy bez żadnych innych dodatków. Poświadczenie zaś wielu kobiet uczy, że ekonomiczniej przedstawia się używanie perfum w różnej konsystencji.

Co prawda nie wszystkie perfumy mają swe odpowiedniki, ale przy zwiększonym zapotrzebowaniu zorientują się rychło fabryki w nowym nastawieniu i produkować będą serie, podobnie, jak to już czyni Molynieux (Numéro Cinq), Patou (Amour, Amour) lub wspomniany Millot (Crêpe de Chine).

Elegantki francuskie XVII i XVIII w. używały wonności litrami. Dzisiejsza wysportowana i dbała o higienę kobieta, potrafi z większym skutkiem dozować swe perfumy... rozpylaczem! (H-a).



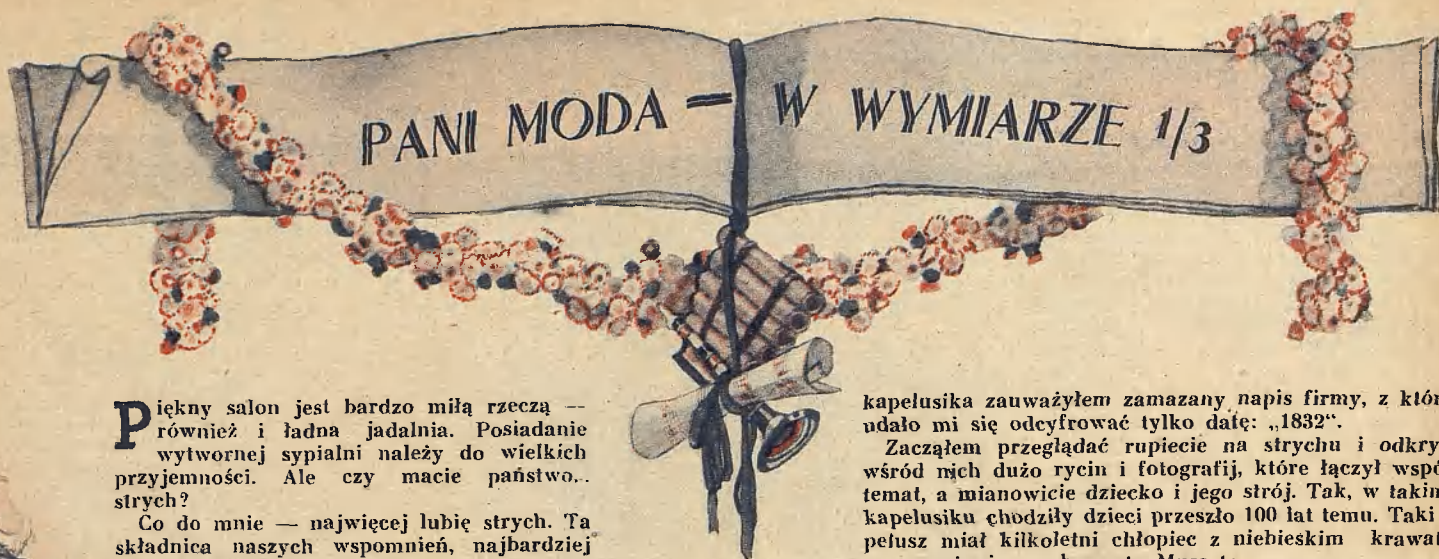
RADOŚĆ

pod choinką

Wody kwiatowe
»MOLINARD«
HABANITA
CALENDAL
NAMICO
LAVANDE
de Bonne Maman



Molinaro
Paris



Piękny salon jest bardzo miłą rzeczą — również i ładna jadalnia. Posiadanie wytwornej sypialni należy do wielkich przyjemności. Ale czy macie państwo... strych?

Co do mnie — najwięcej lubię strych. Ta składnica naszych wspomnień, najbardziej wzruszających, a bardzo często naszych tajemnic, zasługuje na pierwszorzędne miejsce w hierarchii domowej. Być może właśnie dlatego strych znajduje się najczęściej ponad wszystkimi ubikacjami domu. I zdaje mi się, że winno się osądzić ludzi nie po ich zewnętrznym wyglądzie, lecz zależnie od tego, jak wygląda ich strych...

Nie każdy bowiem posiada strych. Tak samo jak narody młode nie posiadają hysterji, nuworysze nie posiadają strychu. Można kupić w składzie mebli jadalnię i stylowy salon, niechże jednak ktoś spróbuje sprokurować sobie w podobny sposób strych pełen wspomnień...

Strych nie tworzy części domu, jest częścią rodziny. Czegokolwiek potrzebujecie z rzeczy, których nie używacie codziennie, możecie znaleźć je tam właśnie. I w ten sposób też odkryłem na strychu w zwykłym tekturowym pudełku zdumiewający kapelusik z wysoką główką, barwy szarej, o szerokim rondzie, lekko zagiętem ku górze. Wewnątrz

kapelusika zauważyłem zamazany napis firmy, z którego udało mi się odcyfrować tylko datę: „1832”.

Zacząłem przeglądać rupiecie na strychu i odkryłem wśród nich dużo rycin i fotografii, które łączył wspólny temat, a mianowicie dziecko i jego strój. Tak, w takim to kapelusiku chodziły dzieci przeszło 100 lat temu. Taki kapelusik miał kilkoletni chłopiec z niebieskim krawatem, przypominającym krawaty Musseta...



Na lewo: Mały dandys, według rysunku w piśmie „La Mode” r. 1831.

I Ty będziesz zadowolony i uśmiechnięty
gdy papieros będzie
Ci smakował

Używaj więc
tutek zdrowotnych
PRIMA AIDA
sporządzonych z naj-
szlachetniejszych su-
rowców roślinnych, al-
bowiem spalają się one
niezwykle przyjemnie
i pozostawiają miłe
uczucie zadowolenia.



Chapeau de Reine orné de lilas. Robingote de gros d'Orient. Capote de gros de Nantes. Robe de quinquans. Tailleur de gros de Naples garni de moles.

Eleganka paryska i jej córeczka, ubrane według mody z 1831 r.

To odkrycie na strychu skłoniło mnie do pewnych rozważań. Zdarzali się we wszystkich epokach ludzie, którzy ubierali swe dzieci w swoje stare surduty i spodnie. Pewien nauczyciel w szkole zadał raz jednemu uczniowi pytanie, w co byli ubrani Adam i Ewa. Usłyszał odpowiedź, że byli oni ubrani w stare liście po swych rodzicach!

Również jednak we wszystkich epokach zdarzają się rodzice, którzy zajmują się ubiorem swych dzieci, starając się sprawnie im ubrać nie tylko dla ich użyteczności, wygody i higieny, ale także estetyki. Specjalna jednak moda dla dzieci rozpoczęła swą historję właściwie dopiero od jakichś 100 lat.



Mody dziecięce w r. 1864, według ilustracji z „La Mode Illustrée”.

Wtedy to w wielu domach dzieci stały się rozkosznościami, żywymi zabawkami, na które patrzano z prawdziwą przyjemnością. Im ładniejsza była ta zabaweczka, tem piękniej strojono ją i pieszczono. Stąd też w połowie ubiegłego stulecia moda dziecięca doznała pewnego wynaturzenia.

Sztuczność w ubiorach — jak ukazują mi to owe stare ryciny znalezione na strychu — doszła do niezwyklej przesady, przyczem starano się ubierać dzieci tak, jak doroste osoby, przez co wyglądały jak małe karykaturki. Ileż komplikacyj wprowadziła ta moda, jak bardzo wykraczała przeciwko higienie, oraz w jak otwartej walce znajdowała się z estetyką. Piękno dziecka, jego wdzięk naturalny, poezja i harmonja drobnego ciała zanikała zupełnie w napuszonej i sztucznej modzie, podobnie jak piękno ciała i ruchu kobiety równocześnie zanikło w cieniach piętrowych kapeluszy, zabójczych sznurówkach i potwornych tiurniurach, upodabniających nasze babki do jakichś przedpotopowych stworów.

Ale przeglądajmy dalej stare wycinki na naszym strychu. Im więcej zbliżamy się do naszej epoki zauważymy, że moda dziecienna przechodzi coraz gwałtowniejsze zmiany na korzyść prostoty i tego piękna, które dać może jedynie skromność i higieniczne ubiory, nie krepujące ruchów ciała.

Pierwszy taki gwałtowniejszy zwrot ku pewnej prostocie w ubiorach dziecięcych daje się zauważyć po r. 1870. Wtedy dopiero skończył się okres męki dla dzieci, chociaż jednak daleko jeszcze wtedy ubiorom dziecięcym było do tej prostoty i wygody jaką mają dzisiaj. Jeszcze dręczyła te malutkie ciała fala koronek i wpijały się w nie obcisłe suknie, a na główkach wznosiły się olbrzymie kapelusze. Aż do wielkiej wojny dużo jeszcze było w ubiorach dziecięcych tego, na co patrząc dziś doznajemy wrażenia komizmu, przesady i co, z punktu dzisiejszych poglądów na higienę i estetykę, musimy potępić.

Porównajmy kilkuletnią dziewczynkę z r. 1936 do jej rówieśniczki z r. 1836. Ta dziewczynka z XIX wieku ubrana jest w długą, do kostek sięgającą suknię z ciężkiego materiału, z bufiastemi rękawami, na którą narzucony jest rodzaj fartuska, również z ciężkiego materiału; gufrowany kołnierzyk okrywa całą szyję aż po brodę, a na głowie piętrzy się kapelusz z olbrzymią ko-



Zimowa moda dla dzieci, z żurnalu „La Gazette du bon ton” sprzed laty szesnastu.



Współczesne ubranka dziecięce z pisma „L'Enfant”.

Na lewo: Jak niegostownie ubierano dzieci w początkach XX w.

kardą. Buciki na wysokich obcasach, ostro ścięte na palcach, kryją nogę prawie do połowy łydki, a rolę pończoch spełniają jakieś fantastyczne nogawki, spływające w dół aż po kostki i przewiązane na trzewikach wstawkami. Biedne dziecko jeszcze dobrze nie wyrosło, a już było skrepowane tem wszystkim, co później jako moda, zwyczaj, tradycja utrudniało jej całe życie, zabijało młodość i postarzało przedwcześnie.

A oto jej rówieśniczka z XX wieku! Spójrzmy jak ubrana jest dziewczynka z r. 1936 do jej rówieśniczki z r. 1836. Ta dziewczynka z XIX wieku ubrana jest w długą, do kostek sięgającą suknię z ciężkiego materiału, z bufiastemi rękawami, na którą narzucony jest rodzaj fartuska, również z ciężkiego materiału; gufrowany kołnierzyk okrywa całą szyję aż po brodę, a na głowie piętrzy się kapelusz z olbrzymią ko-

cięcie z naszych czasów w porównaniu do tamtych z przed wieku. Malutka czapeczka lub berecik, sukienka o prostych linjach, lekka, swobodna, ledwo sięgająca kolan, skarpetki i leciutkie płytke półbuty.

Moda jest wyrazem epoki. Z biegiem lat zmienia się wszystko, zmieniają się zapamiętania, ideały i gusty, zmienia się też moda w najszybszym tempie, jeśli chodzi o piękne panie, w nieco powolniejszym, jeśli chodzi o dzieci, a stosunkowo najpowolniej, jeśli chodzi o modę męską.

Iluż wzruszeń dostarczyć może strych, ile nasunąć refleksyj na temat owego „panta rei”, które obserwujemy z dnia na dzień we wszystkich dziedzinach życia! I dlatego to, co w starych skrzyniach, walizach i pudłach, zakurzone i zapomniane, nieotwierane przez lata całe spoczywa na strychu, jest tak bardzo dla nas cenne, dlatego też w wolnej jakiejś chwili i w odpowiednim nastroju do bieramy się z prawdziwym wzruszeniem do tych pamiątek rodzinnych i przeglądamy te ryciny i fotografie, przedstawiające naszych pradziadów i prababki i ich rówieśników w epokach, znanych nam tylko z pożółkłych powieści.

Moda ewoluuje ustawicznie. Niewątpliwie lata, które nadejdą zmienią jeszcze dużo w obecnych ubiorach dziecięcych, niemniej jednak patrząc na to, co się w tej dziedzinie działo jeszcze przed laty kilkudziesięciu, możemy przyznać, że dzisiejsza moda dziecięca jest idealna!

Dlatego też, tak bardzo lubimy przypatrywać się dzieciom i tak chętnie uczęszczamy na groteskowe przedstawienia, na zabawy kostiumowe, na których możemy obserwować dawne stroje, ubiory, które były duszą odbiegłej epoki, a które na szczęście niepowrotnie minęły.

Są ludzie, którzy przy każdej sposobności lubią wspominać „dawne dobre czasy” i rozprawiać na temat, że „dawniej lepiej było”. Chociaż powiedzenia te mogą się odnosić do bardzo wielu dziedzin, w każdym razie nikt nie mógłby odnieść ich do dziedziny mody...

W. Z.



Oto jak ubierają się współczesne dzieci, przebywające na plaży, według ilustracji Hemij'a w „Perfection” 1934 r.

NA SCENIE.

W okresie świątecznym wchodzi na afisz we wszystkich teatrach sztuki, które zawsze są jednym z najwybitniejszych artystycznie lub... finansowo osiągnięć danej sceny. Zastępują więc na obejrzenie i dlatego śmiało polecić możemy wszystkie przedstawienia świąteczne



MARY GABRIELLI

zdobyła w Poznaniu duże powodzenie i uznanie doskonałym wykonaniem podwójnej roli księżniczki hawajskiej i tancerki Suzanne w operetce Abrahama „Kwiat Hawaju”, granej w Teatrze Wielkim.

we wszystkich teatrach na przestrzeni całej Rzeczypospolitej.

Ze sztuk, które na tem miejscu kilkakrotnie wspominaliśmy, warto jeszcze raz zalecić „Ludzie na krze”, którzy stali się najciekawszym utworem, granym niemal przez wszystkie sceny polskie. W Łodzi osiągnęli „Ludzie na krze” już zgórą 35 przedstawień. Ostatnio wystawił te sztukę Teatr Miejski w Grodnie, zapraszając na reżysera Jana Boneckiego, doskonałego odtwórcę roli starego profesora.

W Poznaniu warto w Teatrze Polskim oglądać komedję muzyczną „Podwójna buchalterja”, w której świetnie główną rolę Zuzanny gra uroczą Adą Zasadzią, a partnerami jej są Zawistowski, Zbikowska, Oranowska, Jabłonowska, Baryka, Szupelak-Gliński i inni. W Teatrze Nowym grana jest nowa komedia polskiego autora W. Jastrzębca-Zalewskiego, p. t.: „Serce za drutem kołczastym”. Autor kilkakrotnie przerabiał miłą i dowcipną farzę myśląc przede wszystkim o napisaniu dobrej roli dla świetnej artystki Jadwigi Zaklickiej. Rzeczywiście artystka odnosi w tej roli duże sukcesy, mając świetnych partnerów w Mieczysławie Dowmuncie, aktorze o dużej vis comica i Januszu Jaronie, doskonałym amantem. Inne role grają Koreeka, Przysiański i Smoczyński.

W Warszawie chcą się zabawić, należy pójść do Teatru Ateum, gdzie grana jest doskonała komedia Birabeau „Woźny i mi-

nister”. Młody i sprawiedliwy krytyk Andrzej Mikulowski „tak m. in. pisze o przedstawieniu: „Komedja Birabeau jest świetnie grana przez Jaracza, który swym realizmem i niezwykłą wprost ekspresją i trafnością gestu nadaje życie całemu przedstawieniu, a także świetnie zmontowana przez Perzanowską, która, jedra z niewielu reżyserów, rozumie takie rzeczy, jak kompozycja czy konstrukcja sztuki i dba o stosowanie się do niej a nie o wygrywanie poszczególnych „efektów teatralnych”, jak to czynią inni, wlokący potem sztuki od brawa do brawa”.

W Warszawie warto jeszcze zajść do „Cyrulika” choćby dla nierzadego Junoszy Stępnowskiego, śpiewającego kuplety muzyczne w komedji muzycznej „Król z parasolem”, którego partnerami są Lena Żelichowska, siostry Burckie, Loda Niemirzanka, Grosówna, Szczepański, Igo Sym, Rentgen i Eug. Koszuński.

(b)

Z Salonu 1936 "ZACHĘTY"

W tych dniach otwarto doroczny salon w Towarzystwie „Zachęty” obfitujący w dzieła portrecistów, jak Bolesława Odeńskiego, Antoniego Graba-



rza, M. Meringa, W. Dobrowolskiego, J. Umińskiego.

Reprodukujemy portret szefa lotnictwa gen. Zajaca, malowany przez znanego śląskiego artystę-malarza, Czesława Kuryatę, który otrzymał na tegorocznym salonie „Zachęty” medal srebrny za reprodukowany portret.

To warto poznać..



JADWIGA ZAKLICKA,

jedna z najświetniejszych artystek młodego pokolenia aktorskiego, doskonała interpretatorka ról lirycznych, zarówno o podkładzie dramatycznym jak i komedjowym, gra obecnie główne role w sztukach „Ludzie na krze” i „Serce za drutem kołczastym” w Teatrze Nowym w Poznaniu.



NIEDZIELA, dn. 27 XII.

- 9.00 Transmisja nabożeństwa.
- 10.30 Kolędy kaszubskie i kujawskie.
- 12.03 Koncert rozrywkowy.
- 11.15 „Jak Stach Zawalidroga uczył się roli Heroda” — monolog dla dzieci.
- 11.30 Koncert rozrywkowy (płyty).
- 15.30 Audycja dla wsi.
- 16.30 Fragment słuchowski z dramatu „Sita” Kasprowicza.
- 17.00 Koncert symfoniczny.
- 19.00 „Debiutanci i laureaci” — szkic literacki.
- 21.00 „Tradycje rycerskie w wielkopolskiej pieśni i melodji” — audycja muzyczna.
- 21.15 „Na wesolej łwowskiej fali”.
- 22.15 Muzyka taneczna.

PONIEDZIAŁEK, dn. 28. XII.

- 15.15 Gitta Alpar i orkiestra Edith Lorend (płyty).
- 15.55 „Wszystkiego po trochu” — audycja dla dzieci.
- 16.15 „Gwara w literaturze polskiej” odczyt.
- 16.30 Koncert Zespołu Haliny Adamskiej-Grossmanowej.
- 17.00 „W laboratorium prof. Weigla” — reportaż.
- 17.15 Koncert solistów.
- 17.50 „Historia zegara” — pogadanka.
- 19.00 Audycja strzelecka.
- 19.30 „Mozaika muzyczna”.
- 20.25 Pieśni w wykonaniu Elżbiety Schumann (płyty).
- 21.00 „Idąc za kolegą” — wieczór literacki.
- 21.30 Koncert Małej Orkiestry P. R.

- 28.00 Koncert symfoniczny.
- 23.00 Muzyka taneczna (płyty).

WTOREK, dn. 29. XII.

- 15.15 Koncert muzyki lekkiej.
- 16.30 Mała Orkiestra P. R. i „Czwórka Radjowa”.
- 17.10 „Dni powszednie państwa Kowalskich” — powieść mówiona.
- 17.25 V audycja z cyklu „Sonaty skrzypcowe Beethovena”.
- 17.50 „Zdrowia, szczęścia, pomyślności” — monolog.
- 19.00 „Dyskutujmy”.
- 19.20 „Z muzyki angielskiej” — koncert.
- 20.15 Opera.
- 22.25 „Współczesny humanizm w literaturze” — szkic literacki.
- 22.40 Muzyka taneczna.

ŚRODA — dn. 30 XII.

- 15.15 Utwory i transkrypcje jazzowo-symfoniczne (płyty).
- 16.25 Koncert Łódzkiej Orkiestry Symfonicznej.
- 17.00 „Nasze odznaczenia bojowe” — odczyt.
- 17.15 Koncert solistów.
- 17.50 „Brytyjska idylla świąteczna”, feljeton.
- 19.20 Koncert w wykonaniu Orkiestry T. Seredyńskiego.
- 20.00 Koncert rozrywkowy (płyty).
- 21.00 Koncert chopinowski — gra Kurt Engel.
- 21.30 Koncert kameralny (z Wilna).
- 22.00 Muzyka taneczna.

CZWARTEK — dn. 21 XII.

- 15.15 Koncert w wyk. Zespołu Pawła Rybasa.
- 16.20 „Nad albumem znaczków pocztowych” — aud. dla dzieci.
- 16.35 Polska muzyka baletowa (płyty).
- 17.15 Muzyka dwufortepianowa.
- 19.00 „Wieszecka karnawału” — operetka.
- 20.30 „Teatr w walizce” — pogadanka.
- 21.00 Koncert sylwestrowy.
- 22.00 „Wesola sylwestrowa Syrena”: „Nie ma złego, co by na dobre nie wyszło” — Audycja M. Hemara.
- 23.30 „Sylwester na Kasprowym Wierchu”.
- 0.20 „Płyta za płytą” — muzyka taneczna.

PIĄTEK — dn. 1 I. 1937.

- 9.00 Transmisja nabożeństwa.
- 12.03 Koncert rozrywkowy i „Monolog nowoczesny”.
- 11.30 Audycja dla dzieci.
- 15.00 „Świętych Pańskich Kalendarz” gawęda.
- 15.15 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego.
- 16.30 „Począta świąteczna” — premiera słuchowska.
- 17.00 Muzyka taneczna.
- 17.30 Koncert orkiestry mandolinistów.
- 18.10 Fragmenty zespołowe znanych oper (płyty).
- 19.00 Dwie serenady w wyk. Orkiestry smyczkowej P. T. M.
- 19.35 Koncert solistów.
- 21.05 „Wspomnienia z dawnych lat” — audycje muzyczne.
- 22.05 „Skórka banana” humoreska.
- 22.35 Muzyka taneczna.

SOBOTA — dn. 2 I.

- 12.03 Kwartet salonowy Rozgłośni Krakowskiej.
- 14.30 „Baśń o Koprinszku” — dla dzieci.
- 15.15 Koncert rozrywkowy.
- 16.15 Koncert orkiestry wileńskiej.
- 17.00 Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy w Wilnie.
- 19.00 Audycja dla Polaków za granicą „Na Nowy Rok”.
- 19.30 Koncert wieczorny w wyk. Orkiestry Symfonicznej.
- 21.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P. R.
- 22.00 „Wielka wygrana” — wesołe słuchowisko.
- 22.30 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa”, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca. Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

hocku KŁOCKI

KREŚLENIE EPOKI

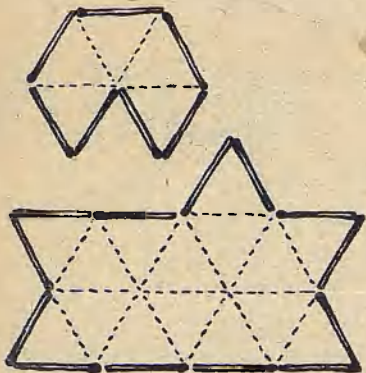


— Ja również mam w domu kilka wspa-
łatych starych obrazów!
— Z jakiego czasu?
— Z czasu, gdy jeszcze miałem dużo pie-
ędzy...

Rys. Charlie.

Rozwiązania z N-ru 51-go.

FIGURY Z ZAPALEK.



Rysunek wskazuje jedno z wielu możliwych
związań.

KAWALERZY W RULONJI.

Ponieważ liczba młodych małżonków musiała
być równa liczbie młodych mężatek; 4,2% nie-
żonatych mężczyzn odpowiadało 1 stycznia ilości
8% niezamężnych kobiet. A więc na każdych
10 mężczyzn wypadają 42 kobiety, to znaczy, że
na każde 28+42=70 osób, mężczyźni stanowili 28/70,
czyli 40% niezamężnej ludności Rulonji.

ROZRYWKI UMYŚLOWE

SPACER PANA KANARKA.

Pan Kanarek zawsze chodzi pieszo ze
swego domku na wsi do pobliskiego mia-
steczka, przyczem idzie w jedną stronę
z prędkością 5 km na godzinę, wraca zaś
z prędkością tylko 3 km na godzinę, gdyż
jest już zmęczony. Spacer w obie strony za-
biera mu 7 godzin — czy można więc na

podstawie powyższych danych obliczyć odle-
głość z domu pana Kanarka do miasteczka?

ZARAZ, ZARAZ, ZARAZ...



Ile razy można w powyższym rysunku
odczytać słowo „ZARAZ”? Wyraz ten wol-
no czytać z góry, na dół i odwrotnie, na-
przód i w tył, w każdy możliwy sposób
wzdłuż wskazanych połączeń. Jednak lite-
ry należy czytać kolejno i żadnej nie moż-
na przy odczytywaniu przeskakiwać.

NASZYJNIKI.

Ile różnych naszyjników można wykonać
z ośmiu paciorków, jeśli się będzie pod-

HUMOR ZAGRANICZNY

PRZED PRZYBICIEM
DO ZIEMI AMERYKAŃSKIEJ



Pierwszy podróżny: — Słota Wolności
wita nas z daleka!

Drugi podróżny: — A nie mnie! Moja żona
czeka w porcie!...
„Ric et Rac”

Z BAJEK NOWOCZESNEGO

ANDERSENA



„Dziewczynka z zapalniczkami”...

Rgs. Charlie.

dawać zmianie tylko stosunek białych do
czarnych koralików, pod każdym innym
względem uważając je za jednakowe? Mo-
żemy więc mieć osiem białych, albo osiem
czarnych, albo siedm białych i jeden czar-
ny, albo sześć białych i dwa czarne, tak



jak to przedstawia rysunek, il. Oczywi-
ście jeśli wymienimy koralik 3 z 4 lub
z 5, lub z 6, będziemy mieli za każdym
razem różne naszyjniki. Ale jeśli zamieni-
my 3 z 7, naszyjnik będzie taki sam, jak
przy zamianie 3 z 5, dlatego, że ulegnie
tylko odwróceniu. Należy unikać uważania
takich wypadków za różne od siebie.

Czy zgadniecie?

I. Wiek dwóch braci wynosi razem 11 lat.
Pierwszy z nich jest o 10 lat starszy od dru-
giego. Ile ma każdy z nich?

II. Z centralnego dworca kolejowego roz-
chodzą się promienisto tory. Każdy z to-
rów posiada pięć stacyj, a stacje te połączo-
ne są znów linją okólną, która ma osiem
stacyj. Ile stacyj posiada cała sieć kolejowa?

III. Zwykło się mówić, że przyczyna idzie
przed skutkiem. Ale nie zawsze tak jest:
wymieńmy wypadki, kiedy przyczyna idzie
po skutku!



U góry: Hans Memling „Hold Trzech Króli”.

Poniżej: Hans Memling, Portret Marii Moreel.

H A N S

Jakiś dziwny nastój ogarnia nas; gdy wpatrujemy się w proste, naiwne, pozbawione, zdawałoby się, głębi w dzisiejszym pojęciu, obrazy „prerafaelitów”. Na pierwszy rzut oka ma się wrażenie, że obrazy takie mogły powstać tylko w epoce nadwyraz spokojnej, nie posiadającej żadnych głębszych zagadnień i wewnętrznych konfliktów. A jakżeż było inaczej jednak! Czasy średniowiecza, kończące się z odkryciem Ameryki w r. 1492, co również wprowadziło do dziejów ludzkości nowe momenty walki, były pełne wojen, zatargów religijnych, szalała wtedy nieraz cholera i dżuma, pustosząc miasta i wsie. Więc jak wytłumaczyć tę dziwną prostotę i spokój ówczesnych obrazów? Nie będziemy przeprowadzać analizy tego skomplikowanego zagadnienia, stwierdzimy tylko, że w wysokiej mierze pochodzą one z głębokiej wiary, która panowała powszechnie.

Wśród licznych malarzy ówczesnych jednym bezwątpienia z najwybitniejszych artystów jest Hans Memling, z pochodzenia Niemiec.



MEMLING

Zwyczajem ówczesnych malarzy wędruje on, nicomal jak wędrowni kuglarze, od miasta do miasta, aż wkońcu wkracza w obronne mury bogatego i pięknego miasta Bruges, jednego z największych miast Burgundji. Ówczesny dwór dzielnych książąt burgundzkich nalczy wtedy do najbogatszych w Europie, rycerze tamtejsi do najbitniejszych, a kupcy do najkulturalniejszych i najbardziej oświeconych. Nic dziwnego, że w tym środowisku Memling znajduje dużo pola do popisu. Maluje nie tylko portrety możnych tego świata, jak burmistrza Marcina Van Nieuwenhoven, ale również liczne obrazy religijne, z których znane są takie arcydzieła, jak „Hold trzech królów”, (którego środkową część reprodukuje obok), lub też cykl obrazów, opowiadających o życiu św. Urszuli, jak również wiele innych. Wśród portretów wybitne miejsce zajmuje obok zamieszczonego portret Marii Moreel, w którym znajdujemy wszystkie tak typowe dla ówczesnych malarzy, a również dla Memlinga, cechy. J. G. M.

R 4936-1939 opr. w 7 vol

4 roczniki

z braku

opracowania

w każdym tomie

1400-

k

braku

W Nr 2 - 29

29

29

30

$\frac{1}{2}$ karty

$\frac{1}{2}$

1

29/30

29/30

3/4

J

D No 383710

KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT

DOM
KSIĄŻKI
DOM

D No 383710

Biblioteka Śląska

302114

III

2

436

0

KOD — 915/65 30 000 szt.